

IRENA HOMOLA-SKĄPSKA

## ZYGMUNTA GRODZIŃSKIEGO „DZIENNIK Z WYPRAWY KAJAKOWEJ PO PODOLU W 1934 ROKU”

Relacja z pierwszej wyprawy rzeką Wilią z Daniszewa do Wilna w lecie 1932 r., Zygmunta Grodzińskiego z żoną Natalią została opublikowana w „Roczniku Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie” w roku 2014, s. 271–287.

Kolejną wycieczkę zorganizował Zygmunt Grodziński dwa lata później, tym razem nie z żoną, która spodziewała się dziecka, lecz z młodym przyjacielem Antonim Dziedzicem<sup>1</sup>. Dwa tygodnie, od 8–22 lipca 1934 roku, spędzili na kajaku, płynąc Strypą i Dniestrem. Dziennik z tej wyprawy spisany przez Zygmunta Grodzińskiego przynosi szczegółowe sprawozdanie, dzień po dniu, z przebiegu długiego i niełatwego, ale fascynującego rejsu po rzekach Podola.

„Podole – cel moich marzeń” tak napisał Grodziński w swojej relacji z tej wyprawy. Wydaje się, że przede wszystkim kierował się tutaj chęcią odnowienia wspomnień z czasu pierwszej wojny światowej, kiedy to w latach 1915–1916 jako żołnierz 56 pułku piechoty w armii austriackiej, walczył na tym terenie i dostał się do niewoli. Jednak okazało się, że choć wspominał kilkakrotnie o swoich wojennych przeżyciach, to w odtwarzeniu codziennych dni rejsu kajakowego przeważyły pełne zachwyty opisy przyrody, której urokowi niesposób było się nie poddać. Fascynowały go malownicze krajobrazy, nieuregulowane rzeki, tajemnicze skały oraz bujna i barwna roślinność. Szczególną też uwagę autora przyciągały ptaki, zarówno ich różnorodność, jak i zwyczaje. Bardzo ciekawe, obok obserwacji codziennego życia zróżnicowanych narodowościowo i obyczajowo mieszkańców Podola, były uwagi autora dziennika o stosunkach polsko-ukraińskich na tych terenach i ich wzajemnych relacji. Ciekawość, wyważone oceny i pełne dystansu, choć nie bez mocnego zaangażowania emocjonalnego opisy powodują, że dziennik Grodzińskiego czyta się z dużym zainteresowaniem.

---

<sup>1</sup> Niestety nie udało się ustalić bliższych informacji o Antonim Dziedzicu zarówno od rodziny, jak i w literaturze dotyczącej tego okresu. Wiadomo tylko, że pochodził z Gorlic i był zaprzyjaźniony z Grodzińskimi.

## KAJAKIEM PO PODOLU (240 km)

Załoga: Z. Grodziński, A. Dziedzic  
8 VII–22 VII 1934

\*  
\*            \*

Stary „Zuch” nabiera ochoty do wędrówek, bo dostał nowy żółciutki pokład za 45 zł i kilka pięknych łatek na dno. Łatwo go składać i rozbierać, ponieważ wszystkie części mosiężne świecą się od zabiegów szmergłem<sup>2</sup>, a rurki lekko przelewają się w spojeniach. Niestety załoga „Zucha” ma się zmienić. Natka z wiadomych powodów musi chcąc nie chcąc pozostać w domu. Za wioślarza dobieram Dziedzica, partnera od siatkówki, bilardu i tenisa. Dla wprawy robimy kilka wycieczek wspólnych. Z nich jedna z Mysłowic na półtora dnia, połączona z noclegiem w namiocie. Wszystko szło doskonale, prócz wiatru wschodniego, który hamował „Zucha” i upaliliśmy 70 km w jeden dzień, ciągle i mocno wiosłując. Po takim pomyślnym egzaminie możemy spokojnie jechać razem na Podole, cel mych marzeń. Chciałem bowiem odwiedzić pobjowisko nad Strypą<sup>3</sup>, gdzie byłem w r. 1915/1916 i zobaczyć, jak wygląda Dniestr poza Zaleszczykami. Kompletujemy ekwipunek, kupujemy materace (po 24 zł), manierki, kubki, wyprawkę samochodową. Natka szyje niezliczoną ilość woreczków, jeden na toaletę wyszywany dostałem na imieniny. Prowianty, bieliznę, kancelarię, apteczkę itp. przygotowuje Natka według listy, opartej na spisie ekwipunku wycieczek letnich i zimowych, znajdującym się w naszej kartotece. Listę tę odpisują różni ludzie za pośrednictwem Dziedzica. Ostatecznie Natka udaje się na lotnisko do Zarzyc Wielkich koło Leńcz<sup>4</sup>. Odwożę ją i po dwudniowym pobycie tam wracam do Krakowa. Ustalamy termin wyjazdu. Deszcz leje codziennie i rośnie nadzieja na pogodę podczas wycieczki. Wreszcie nadchodzi:

8 VII niedziela

Rano zjawia się u mnie Dziedzic, prawie że wprost z wesela kolegi, któremu družbował; zabieramy pięć ciężkich worów – 3 [zajmują] kajak, 2 z prowiantami i resztę ekwipunku, – znosimy do dorożki i wio na dworzec. 9,15 pośpiesznym do Lwowa, tu przesiadka do Chodorowa<sup>5</sup>, znowu przesiadka i przez nieznane mi okolice zbliżamy się do celu. Dzień pochmurny, co chwila przepada. Nie wzruszamy się tym, bo w wagonie nie można zmoknąć. Okolica falista, lesista zaczyna

<sup>2</sup> Szmergel – materiał ścierny zrobiony ze skały.

<sup>3</sup> Strypa – rzeka, lewy dopływ Dniestru.

<sup>4</sup> Zarzycy koło Leńcz niedaleko Krakowa, wydzielone w XIX w. jako Zarzycy Wielkie.

<sup>5</sup> Chodorów – miasto w rejonie żydaczewskim, obwód lwowski.

nam się podobać. Mijamy Czercze<sup>6</sup>, gdzie wsiadają gadatliwi kuracjusze, zachwalający kąpiele borowinowe. Podobno działają cudownie; znacznie lepiej niż w Krynicy, oczywiście według opinii właścicieli Czercz.

Rohatyn<sup>7</sup> – duży dworzec, pociągami naszym manewrują, doczepiają świnki i deski. W Potutorach<sup>8</sup> – ładny dworzec, w stylu polskiego dworku, okolica klasa – wysiadają kajakowcy z Warszawy. Mają zamiar spławić się Złotą Lipą do Dniestr; dążą do Michalcza, gdzie mają znajomych. Pod wieczór dojeżdżamy do Denysowa<sup>9</sup>. Z wysokiego mostu widzimy jakąś małą rzeczulkę, uchwalamy, że to nie Strypa<sup>10</sup> i wysiadamy na stacji o godzinie 20.15. Przed dworcem nie ma furmanki, nie ma więc czym odwieźć rzeczy nad rzekę. Zanim udało się znaleźć wehikuł<sup>11</sup>, zapada zmrok. Wobec tego z pomocą babiny zanosimy plecaki przez dworzec i tor pod jej dom, budujemy namiot koło sadu i na kolację idziemy do domu. Mleko już zagrzane, bułki ze sznycłami smakują. Gwarzymy po polsku, gospodarze z polska po ukraińsku. Podczas wojny w r. 1916 wysiedlono ich do Gorlic<sup>12</sup>. – Dziedzic podejmuje ten temat, pochodzi bowiem z Gorlic. Babiny ucieszyły się bardzo z tego zbiegu okoliczności. W r. 1918 wrócili do spalonego domu. Odbudowali się. Wojna polsko-ukraińska znów ich zniszczyła. Stara matka żaliła się najbardziej na polskie wojsko, młoda milczała dyplomatycznie. Wypytyują się dokąd jedziemy? jak? Kiwają głowami, wreszcie matka mówi „Że też takim starym chłopom chce się jeszcze włóczyć po świecie”. Obruszeni na „starych chłopów” idziemy spać.

## 9 VII poniedziałek

Spaliśmy doskonale. Gumowe materace włożone pod podłogę namiotu – miękkie, choć trochę za krótkie. Pod głowę plecaki, nie za wygodne. Do snu ubraliśmy się we wszystkie ubrania, jakie mieliśmy, bo koców nie zabraliśmy ze sobą. Zapięte drzwi namiotu trzymają ciepłe powietrze, uchylone okienko dozwala na jego umiarkowaną wymianę. Pakowanie namiotu, rzeczy i śniadanie nie zajmują wiele czasu. Objuczeni plecakami, razem z gospodarzem, który niesie najcięższe „dziecko” – części drewniane, zdążamy ku Strypie. Po przemaszerowaniu wzdłuż toru 500 m, dochodzimy do rzeczulki, tak pogardliwie zdyskwalifikowanej wczoraj. Strypa nie bardzo nam się podoba, ale gospodarz zapewnia, że jest głęboka, miejscami na 4–6 m. Czy tyle było – nie wiemy, natomiast parę razy zanurzaliśmy w niej wiosła i postawione na dnie sięgały do powierzchni. Składanie kajaka, umilane myślą, że to raz na dwa tygodnie, trwa krótko. Żegnamy się z gospodarzem, nagrodzonym po królewsku (50 gr) za dźwiganie wora i o 8,35 odbijamy. Ciągniemy

<sup>6</sup> Czercze – wieś w powiecie przeworskim, gmina Sieniawa.

<sup>7</sup> Rohatyn – stolica powiatu w województwie stanisławowskim.

<sup>8</sup> Potutory – wieś w powiecie brzeżańskim, województwo tarnopolskie.

<sup>9</sup> Denysów – wieś, rejon kozowski, obwód Tarnopol.

<sup>10</sup> Strypa – por. przypis nr 2.

<sup>11</sup> Wehikuł – środek lokomocji.

<sup>12</sup> Gorlice – miasto powiatowe w województwie rzeszowskim.

mocno, aby pokazać co „Zuch” potrafi i razem ze Strypą wycinamy liczne wywijasy poprzez moczary zarosłe niskawym szuwarem. Na prawym brzegu ciągnie się na wzgórzu wieś Denysów, tonąca – z kościołem, cerkwią i domami, krytymi blachą, częściej strzechą – w sadach i drzewach. Dom za domem stoją aż gdzieś po widnokrąg, wszystkie ostro widzialne, co razem z chmurami ciemnymi na niebie wróży pewny deszcz.

Szuwary<sup>13</sup>, dotychczas niskie, wznoszą się coraz wyżej i gęstniejąc zapuszczają się w koryto rzeki. Chłopi zajęci przy budowie mostu wskazują nam kierunek rzeki, przebijamy się tam i dostajemy się na początek stawku położonego z lewa wysokim oczeretem<sup>14</sup>, na prawo stromym brzegiem, z którego zwisają nad wodę wierzby rozłożyste i strzelają w górę osiki<sup>15</sup>. Powierzchnia wody mieni się odbiciami traw i drzew. Pierwsze zimorodki dają znać piskiem o sobie, jakieś drapieżce nikną za ścianą szuwarów. Postój dla zdjęcia i pewnym, choć wąskim korytem rzeki wiosłujemy dalej. Zachwycamy się rzeką typowo poleską, tak różną od rzek z okolic Krakowa. Nie tracimy humoru nawet gdy deszcz zaczyna padać. Ubieramy się w wiatrówki, naciągamy falochron na kajak i jedziemy dalej. Tymczasem rozlewa się porządnie, przybijamy do brzegu w Kupczyńcach<sup>16</sup> i już zamierzaliśmy schronić się pod wierzby, gdy się wypogodziło. Jedziemy dalej. Poluję chwilę aparatem na brzegówki<sup>17</sup>, siadające na węcierzach<sup>18</sup>. Ponieważ nie pozują dobrze, fotografuję same węcierze. W dalszej drodze wypłaszamy kaczki dzikie – uciekają – i swojskie. Te ostatnie zdradzają upierzeniem grzeszki matek z dzikimi kaczorami. Pod mostem drogowym poza Kupczyńcami przeczekujemy nową serię deszczu. Wjeżdżamy razem ze Strypą na szeroką moczarystą równinę. Poprzez szuwary widać czasem w oddali małe, płaskie wzgórza, przeważnie jednak wysokie szuwary zasłaniają całkowicie horyzont. Prądu w rzece nie znać, zamienia się właściwie w staw o dnie porośniętym roślinami, których liście i kwiaty wynurzają się na powierzchnię wody. Sama woda pomimo ustawicznych deszczy, czysta. Koryto Strypy, wycięte wyraźnie pomiędzy szuwarem, zaczyna zanikać, ciemnieje znacznie. Rozkładamy więc jedno wiosło i wiosłujemy połówkami, drugie leży beczynnie na płótnie pokładowym. Wreszcie i połowy wiosła stają się za długie, wkładamy je do kajaka i rękoma chwytając za szuwary przeciągamy łódź poprzez las wysokich roślin. Oczywiście widać tylko na kilkanaście kroków dookoła i wysoko wprost do góry. Oryginalny odcinek rzeki, chociaż męczy taka jazda na rękach, trwająca kilka, a może kilkanaście minut. Dostajemy się wreszcie w jakieś wąziutkie koryto rzeki, jedziemy na pół wiosła. Wkrótce przed dziobem kajaka wynurza się dwumetrowa grobelka z roślin, leżąca w poprzek rzeki. Próbuje jej stałości. Pod dziobem ugina się z lekka, naciśnięta

<sup>13</sup> Szuwary – zbiorowisko roślinności bagiennej.

<sup>14</sup> Oczeret – bylina z rodziny turzycowatych osiągająca około 3 metry wysokości, tworząca szuwary.

<sup>15</sup> Osika – drzewo z rodziny wierzbowatych.

<sup>16</sup> Kupczyńce – wieś, później włączona do Ukrainy.

<sup>17</sup> Brzegówki – ptak wędrowny z rodziny jaskółkowatych.

<sup>18</sup> Węcierz – sieć wykonana z wikliny.

cofa się. Pchamy więc przed sobą całą wyspę roślin i po kilkudziesięciu metrach udaje się nam zepchnąć ją w jakiś boczny kanał, a sami przedostajemy się na szersze wody. Prąd tu tak słaby, że rzęsa<sup>19</sup> zdołała rozrósć się zielonym kozuchem jak na stawie. „Zuch” wypisuje na niej swój szlak, który zresztą wnet po przejeździe się zaciera. Korzystając z jakiejś chwili odpoczynku, pijemy „Bruderschaft”<sup>20</sup> na sucho i na odległość, nie wysiadając z kajaka. A więc od teraz już tylko Antek i Zygmunt. W miejscach, gdzie twardy grunt zbliżał się ku nam, spotykamy krowy, brodzące po kolana w moczarze i zajądające trawy wodne.

Koło Iszczkowa<sup>21</sup> przeplaszamy rodziny łysek<sup>22</sup> i kurek wodnych i żegnamy się z czaplami purpurowymi, z których zawsze jedna przynajmniej nam towarzyszyła. Według mapy mamy wpłynąć teraz na trzech kilometrowy staw; tymczasem pokazuje się, że podczas wojny staw zarósł zupełnie i wygląda podobnie, jak poprzedni odcinek Strypy. W poprzek stawu biegnie ulica czystej wody, którą kursuje prom od jednego brzegu na drugi. Na stawie tracimy kilka razy drogę, ale po paru zawrotach odnajdujemy ją znowu. Ciepło się robi, bo wiosłujemy w wiatrówkach z uwagi na mokre zarośla i ciągle przepadające deszczyki, co nie przeszkadza nam jednak robić zdjęć fotograficznych. Opuszczamy wreszcie tzw. staw i razem ze Strypą dostajemy się na szeroką, widną równinę, z lekka podmokłą, a użytą jako łąka; właśnie leżą ścięte trawy, które suszą się w słońcu po ciągłych deszczach. Rzeka robi kilkanaście skrętów i wyprostowawszy się, wpływa w wioskę Bieniawę<sup>23</sup>. Grobla pierwszego młyna (murowany) przecina nam drogę. Z miną ekspertów wysiadamy, oglądamy ją i decydujemy przenieść kajak z całym ładunkiem. Tymczasem ludzie z młyna, obieleni mąką i od fur sprzed młyna zbloceni nadchodzą trochę ciekawi i w milczeniu oglądają nas, nasze skąpe kostiumy, a przede wszystkim kajak. Zadaję im jakieś obojętne pytanie, to wyzwala ich wymowę. Zасыpują pytaniami: skąd? jak? po co?, ile kosztuje taka gumowa łódka? Odpowiadamy krótko. Suma 500 zł za łódź budzi u niektórych niedowierzanie. Z miny ich widać, że przez grzeczność nie mówią „łżecie”. Innym świecą się oczy i zapewne wzdychają, żeby tak takich w nocy gdzieś dopaść, toby się można zaopatrzyć w grube pieniądze, niczym jak po jakimś rzeźniku, jadącym na jarmark.

Lekko stękając pod ciężarem kajaka i obijając bosc nogi o kamienie, przenosimy go przez groblę, opuszczamy do wody i jedziemy dalej. Już dobrze po południu. Zatrzymujemy się więc na końcu wsi na wyspie i pod wierzbami biwakujemy. Przygotowuję obiad: zupa z magicznych kostek z grysikiem, 2) kiełbasa z chlebem, 3) herbata z cwibakiem takim, „że palce lizać”. Gotowanie trwa długo, bo maszynka Antka ma za mały palnik w stosunku do naczynia z wodą. Moja blaszana flaszka ze spirytusem denaturowanym nie cieknie, czego się obawiałem i czemu miała zapobiec podkładka korkowa, zrobiona jeszcze w Krakowie. Tymczasem na drugim

<sup>19</sup> Rzęsa – pływająca bylina z rodziny rzęsowatych w postaci drobnej blaszki o jednym korzeniu.

<sup>20</sup> Bruderschaft (z niem.) – braterstwo, po bratersku.

<sup>21</sup> Iszczków – wieś w starostwie Podhajce.

<sup>22</sup> Łyski – ptak łowny z rodziny chruścieli.

<sup>23</sup> Bieniawa – wieś w powiecie Podhajce, województwo tarnopolskie.

brzegu rzeki zbierają się ludzie, najpierw zjawia się mały chłopak, potem paczka dzieci, a w końcu cały wianuszek dorosłych. Patrzą na nas, coś mówią do siebie szeptem. Wytrwale czekają, aby zobaczyć, co będziemy robić. Koło godziny drugiej zwalniamy ich z niewygodnego posterunku, odbijając kajakiem od zacisznej wyspy.

Słońce coraz dłużej prześwieca w dziurach między chmurami, wreszcie robi się stała pogoda. Wiatrówka – prezent Natki zdała dobrze egzamin, na deszczu nie przemokła, tylko rękawy zażółciły się od pokładu kajaka. Szybszy nurt Strypy, już tutaj niezarośnięty, niesie nas nawet bez wiosłowania, tym bardziej że na licznych zakrętach rzeki łowimy wiatr zachodni na pióra wiosel. Za to przy skręcie podwietrznym mamy trochę roboty. Mijamy widoczny z daleka na wzgórzu Rakowiec i Sosnów. Przejeżdżamy po raz pierwszy pod mostkiem, tak niskim, że musimy się dobrze schylać, aby głową o niego nie zawadzić. Długi czas towarzyszą nam trzy piskliwe kuliki, których nigdy nie możemy bliżej dopędzić jak na dzień się kroków<sup>24</sup>. Bociany powłóczyście chodzą po łące i ostrożnie wymijają kępki skoszonej trawy. Podjeżdżamy czasem parę kroków do nich. Wieczór nadchodzi, robi się chłodnawo. Decydujemy zatrzymać się w najbliższej wsi lewobrzeżnej, tzn. w Sokołowie i po przenocowaniu zrobić wycieczkę pieszą do stepu Pantalicha<sup>25</sup>.

Wysiadamy na początku wsi, ale nie możemy znaleźć dobrego miejsca na obóz. Musi bowiem być suche, blisko porządnego domu, aby mieć łatwą dostawę mleka i jaj, a przy tym daleko od uczęszczanej drogi. Podobnego obozowiska nie znajdujemy. Jedziemy więc dalej przez Sokołów do Sokolnik<sup>26</sup>, ale na brzegu zadrzewionym, stromo schodzącym do rzeki lub płaskim, ale zarosłym kapustą i kukurydzą, nie ma nic odpowiedniego. Wjeżdżamy do małej zatoczki, gdzie baby wiejskie piorą bieliznę – każda stoi na pomościku z kamienia lub deski i kijanką bije swe skarby; oglądamy teren, pytamy się, wreszcie jedziemy dalej. Na wzgórzu na skręcie rzeki wznosi się ładny domek; idę do niego – zabity deskami, niezamieszkały, znów nie nadaje się dla nas. Wiosłujemy teraz szybko przez całe Sokolniki, z końca wsi wracamy i lądujemy na miejscu, uznanym przez nas za najlepsze. Mieści się o sto kroków od domów, na końcu ogrodów. Z wydobyciem kajaka na ląd mamy pewne trudności, bo wierzby rosną gęsto tuż nad wodą, a woda bardzo głęboka. Nadmuchiwanie materacy i budowa namiotu idą składnie. Dziedzic zostaje i rozpakowuje rzeczy, ja idę bosą do wsi po mleko i jaja. Zachodzę do wielu domów, porządnie nawet zbudowanych i dowiaduję się, że nie mają krów, albo że krowy nie dają mleka. Z jajami jeszcze gorzej; kury są, ale nie niosą się, bo nie ma ich czym karmić. A może Ukraińcy nie chcą mnie – mówiącemu po polsku nic sprzedać. Wreszcie pokazują mi jakiś brudny dom. Zamawiam gotowane mleko i sześć jajek. Wracam

<sup>24</sup> Kulik – ptak z rodziny siewek o długim dziobie.

<sup>25</sup> Pantalicha – nazwa stepu w zachodniej części powiatu Trębowa województwo tarnopolskie, płaskowyż między jarami Seretu i Strypy.

<sup>26</sup> Sokolniki – wieś w gminie Wiśniowczyk, powiat Podhajce.

do łodzi, brnąc po kostki w rozmokłej nawierzchni wiejskiej, szerokiej ulicy. Błoto wspaniałe, z czarnoziemem, lepkie i gęste.

Tymczasem zaczynają się w obozie gromadzić dzieci i starsi. Znowu oglądają – najchętniej rękami – łódkę i namiot. Przychodzi nawet Żydówka, a dwa żydowskie bachorki, równie brudne i podobnie ubrane jak słowiańscy tubylcy, stają się bardzo natrętne. Dostały przed tym cukierka za przyniesienie kamienia, chciałyby znów coś zarobić. Pomiędzy tubylcami są i Mazurzy, ładnie mówią po polsku. Z Ukraińców – szczególnie byli żołnierze, którzy służyli w wojsku na zachodzie kraju, i dzieci szkolne popisują się polskim językiem. Rozmowy przerywa baba, która przyniosła mleko w glinianym garnku. Smażymy jajka na słońcu i zabieramy się do jedzenia. Tubylcy (ze 20 osób) dyskretnie cofnęli się i spod drzew obserwują nasze ruchy. Mleko ma dziwny smak; później dowiedzieliśmy się, że tu mleko stale solą. Po kolacji znów gadamy, pytamy i odpowiadamy. Czy wojna zniszczyła wieś, czy mają dużo ziemi, krów, gdzie bywali w Polsce, – skąd jedziemy, dokąd? po co?

Wreszcie o godzinie dziewiątej chronimy się do namiotu – światło latarki elektrycznej w oknie wywołuje pomruk podziwu. Gwary głosów dokoła nas gasną. Zасыpiamy. Koło dziesiątej jakiś tubylec przyszedł oglądać kajak, bez żadnych zresztą złych zamiarów, podnosił go i dzięki temu nas zbudził, bo bok odwróconego dnem do góry kajaka opierał się o dłuższą ścianę namiotu. Skłębiliśmy go – nastała cisza – sen.

10 VII wtorek

Budzi nas dziewczynka – Polka, która przyniosła gorące mleko i jajka – wszystko za marną zapłatą i cukierka na dodatek. Jemy śniadanie. Potem ranna toaleta. Golę się codziennie, opierając jak zwykle lusterko kieszonkowe w szparze kory wierzbowej; mycie mniej gruntowne, bo i tak ciągle się chlapiemy podczas jazdy, przynajmniej mamy ten zamiar, o ile pogoda dopisze. Chmurno dziś jeszcze, ale od południa pogoda klasa. Powoli pakujemy rzeczy i namyślamy się, czy można nasz dobytek zostawić pod opieką jakiegoś tubylca na cały dzień, a tymczasem pójść odwiedzić step Pantalichę. Ostatecznie nie widzimy nikogo godnego zaufania w tłumie, zebranych dookoła nas; rezygnujemy więc ze stepu, opuszczamy łódź na wodę i odjeżdżamy, ku wielkiemu podziwowi tubylców. Na prawym brzegu pojawia się jakiś studencik na rowerze i towarzyszy nam czas dłuższy, jadąc z ręcznie po bezdrożach łąki. Mieszka w czworakach przy świeżo odbudowanym dworze i gorzelni. Ciągniemy mocno, bo jeszcze chłodno, rzeka wąska, głęboko, brzegi miejscami porośnięte niskim szuwarem; wszędzie drzewa wysokie chylą się nad wodą i tworzą altanę zieloną. Z mapy i przewodnika A. Heinricha wiemy, że czeka nas przejazd przez szereg wsi i szereg młynów. W Złotnikach<sup>27</sup> pierwszy młyn. Przybijamy do grobli, przenosimy wyładowany kajak przez nią i w mig jedziemy dalej; prąd

<sup>27</sup> Złotniki – wieś w powiecie podhajeckim.

poniżej młyna porywa nas i pędzimy kawał po wysokich falach. Następna przeszkoda w Hajworonkach<sup>28</sup> w postaci kładki, która sterczy na niskich palach tuż nad wodą i zamyka nam drogę. Jakiś chłop usiłuje siekierą odbić deskę, aby nas puścić, ale gwoździe trzymają mocno. Stękając, lądujemy na kładce i przekładamy kajak przez nią. Na szczęście woda płytka, wchodzę do niej i pomagam Antkowi, który stoi na kładce. Zatrzymujemy się i wychodzimy poprzez wojenne okopy po zboczu na krawędź płyty podolskiej. Podziwiamy Strypę, zdążającą zakrętami do miasteczka Wiśniowczyk. Na wschód od nas i od rzeki ciągnie się płaszczyna, pocięta na kilka olbrzymich kwadratów pól dworskich zasianych lub zoranych. Schodzimy w dół powoli, bo osty kłują bose nogi. Niektóre osty „bodiaki” przewyższają nas swą wysokością, dorodne, o pięknych liściach.

Jedziemy teraz zupełnie odsłonięci – nie ma drzew i brzegów wysokich – łapiemy wiatr na wiosła i dajemy się mu unosić. Wiśniowczyk tuż, leży na prawym brzegu stawu. Na lewym pasie się stado koni folwarcznych bez żadnego dozoru, bo błota uniemożliwiają im ucieczkę. Z ciekawością nadbiegają nad wodę i wyraźnie się do nas zalecają, szczególnie jeden zgrabny kasztan ze strzałką na czole.

Grobla usypana w poprzek stawu, zatrzymuje nas; wahamy się, czy podjechać pod młyn, czy przeprować się wprost przed sobą. Dobijamy do grobli i widzimy, że dalszy ciąg rzeki płynie z 15 metrów niżej od nas. Wyładujemy więc rzeczy i z pomocą chłopka przenosimy duży kawał cały ładunek. Podpływamy potem pod groblę i próbujemy fal powstałych pod wodospadem. Sam Wiśniowczyk to duże miasteczko, podobno ma 1000 domów, kościół, cerkiew i pocztę. Ciągnie się chyba ze dwa kilometry wzdłuż rzeki. Przy cerkwi lądujemy. Kajak zostawiamy bez opieki, a sami idziemy oglądać mur dokoła cerkwi, z kapliczkami jak basztami. Cerkiew mała, zamknięta. Plebania – piętrowa, duża murowana willa. Najbliższe domy również częściowo murowane i kryte blachą. Wracamy do łodzi, której nikt nie zauważył, dzięki czemu nic nie zginęło.

Jeszcze w obrębie Wiśniowczyka wpływa Strypa pod las. Boczną jej odnogą wjeżdżamy w środek liściastego lasu. Wygląda on raczej na park angielski zapuszczony od lat. Duże drzewa ustępują gdzieś miejsca krzewom bżów dzikich i jarzębinom; sama rzeka wąska, prawie bez prądu, dość jednak dla kajaka głęboka. Rozglądamy się za miejscem na biwak. Zanim coś znaleźliśmy, usłyszeliśmy łoskot spadającej wody – więc przed nami grobla i młyn. Stękamy, że znów będziemy dźwigać kajak, nie przeczuwając ile tego będzie. Dobijamy do grobli. Wykonana doskonale i nowa z drzewa i czerwonego kamienia. Napis w języku ruskim ostrzeżenie, że przechodzić nie wolno. Rozglądamy się dokoła; za groblą duży kawał rzeki o dnie kamienistym, niezdatny do jazdy łodzią. Studencik (Ukrainiec) grzecznie objaśnia nam po polsku, że trzeba daleko obnieść kajak i że tam znajdziemy źródło z doskonałą wodą. Parobek odmawia nam pomocy przy przenoszeniu, mówiąc z nami tylko po ukraińsku. Niesiemy więc pustego „Zucha” ze sto kroków ścieżką przez zarośla, dochodzimy do źródła, wracamy po rzeczy, holujemy wszystko parę

<sup>28</sup> Hajworonki – wieś w gminie Wiśniowczyk, powiat podhajecki.



metrów aż do małej wysepki i tu biwakujemy. Podczas gotowania obiadu (funkcjonuję jako kucharz, towarzysz jako pomywacz) Dziedzic brodzi po wodzie, ja zabawiam się wbijaniem długich a cienkich kolców ostów poprzez skórę palców, co jest zupełnie bezbolesne i nie niszczy skóry. Kolce są bowiem cieńsze i ostrzejsze od najlepszych igieł. Domów w pobliżu tylko dwa. Dlatego małą mamy galerię widzów. Z jednego wyszła młodocia<sup>29</sup> niby to prac coś do rzeki, z drugiego paru chłopców i ruski kleryk.

Dalszą jazdę aż do Sapowa utrudniają płycizny, na których holujemy kajak, aby się nie obdzierał o kamienie. Strome, niezalesione brzegi schodzą miejscami do samej rzeki. W Kiejdanowie<sup>30</sup> znów młyn. Bez słowa protestu zmechanizowanymi ruchami wyładowujemy kajak, przenosimy przez grobelkę, ładujemy i jedziemy dalej. Z mapy widzimy, że rzeka rozdziela się na dwa ramiona; na wschodnim, silniejszym zaznaczony młyn, jedziemy więc zachodnim. Bardzo wąskie, tak, że ledwo mieszczą się wiosła, jednakże głębokie, niesie „jak anioł”. Ni stąd ni zowąd – tama. Wyładowanie, przenoszenie po ościstej trawie – ładowanie – jazda. Znów kładka z szeregu wielkich kamieni ustawionych szeregiem. Przekładamy załadowany kajak. Jedziemy coraz szybciej; w oddali i w dole widać olbrzymie topole (nadwiślańskie?). To park, raczej jego resztki przy dworze, którego ruiny gdzieś widać. Tysiące gawronów i kawek siada na nich, krążą w powietrzu, drąc się nie miłosiernie. Z przyjemnością rozstajemy się z nimi i jedziemy dłuższy kawał wśród wsi. Poza którymś mostem wjeżdżamy we wspaniały park w Osowcach<sup>31</sup> (własność Cieńskiego?). Puszczamy się młynówką, bo większa od samej rzeki. Wolno, mało wiosłując suniemy pomiędzy odwiecznymi drzewami z rzadka rozrzuconymi. Wszędzie wspaniała trawa, i miejscami gazony. Na lewo długi dwór, przed którym siedzi starszy pan; kiwa nam ręką, odpowiadamy wiosłami. Na prawo ciągnie się wysoka, zalesiona ścianka. W lesie szeroka polana, ścieżka zakosami przerzyna ją aż po górny brzeg – dojście na miejsce widokowe. Tu warto by się zatrzymać, ale nie wiadomo co taki „żubr” z dworu powiedziała by na naszą propozycję.

Młynówka jak zawsze kończy się młynem – tu dużym, murowanym, który przetrwał wojnę szczęśliwie. Zdobi go korona hrabiowska i data zdaje mi się 1912. Znów rytualne wyładowanie, przenoszenie, ładowanie i jazda. Zaczynam to już czuć w rękach. Odtąd rzeka miejscami głęboka, o powolnym prądzie, obrosła drzewami, których cienie kąpią się w zachodzącym słońcu w wodzie. Inne odcinki rwące, płytkie, nie nadają się do podziwiania piękna rzeki, służą natomiast do holowania łodzi. Liczne wilgi, z których jedna (samczyk) pozwala podejść blisko. Dziedzic zachwyca się nimi, ogląda przez lornetkę.

Petlikowce St.<sup>32</sup> znane mi z wielkiej wojny, zdobywamy po przeniesieniu kajaka na przestrzeni 150 kroków; dla oszczędzenia sobie czasu obwijamy równocześnie

<sup>29</sup> Młodocia – młoda dziewczyna.

<sup>30</sup> Kiejdanów poprawnie: Kojdanów miasteczko w powiecie mińskim.

<sup>31</sup> Osowce, wieś w powiecie radomskim.

<sup>32</sup> Petlikowce – wieś w powiecie buczackim.

wory na plecach, kajak zaś na ramieniu. Zmęczeni i zabłoceni, wodujemy kajak; pantofle, które włożyliśmy dziś po raz pierwszy, myjemy z błota. Na szczęście ostatni to już dzisiaj młyn i ostatnie płycizny, bo słońce już zaszło, a chcemy dotrzeć do Przewłoki<sup>33</sup>. Dobijamy wreszcie do ogrodów ostatnich już domów. Namiot rozkładamy pomiędzy wierzbami, tuż nad wodą i obok ścieżki. Jak zwykle idę po mleko. Znow szereg domów trzeba przejść, aby je znaleźć. Czekam na ugotowanie. Chłopak niesie je za mną. Ciemno już zupełnie. Nie bardzo wiem, gdzie nasze obozowisko, ale Dziedzic, słysząc nasze głosy, sygnalizuje światłem latarki. Wypijamy mleko, zagryzamy chlebem. Przez chłopca zamawiamy śniadanie. Dostaje 20 groszy za trudy – jest wniebowzięty. Zasypiamy jak klody. Chłodny wieczór zapowiada pogodę na jutro.

### 11 VII środa

Rytualne zajęcia poranne zaczynają się od golenia. Przy tej sposobności pokazuje się, że w Sokolnikach zgubiłem grabki przytrzymujące ostrze w maszynie do golenia. Zapewne przy myciu maszynki posiałem je gdzieś w trawie. Z pewną obawą decyduję się golić bez grabek; początkowo nieśmiało, potem coraz szybciej, kończę normalnym tempem bez zacięcia się. Moja elegancja wycieczkowa ocalona.

Po śniadaniu zanosimy przy pomocy chłopca rzeczy i kajak do szopy gospodarzy, od których kupiliśmy mleko. Plecaki wkładamy w dzioby kajaka i całość, obróconą dnem do góry, kładziemy na sianie. Mamy iść na całodzienną pieszą wycieczkę i patrzymy z nieufnością i troską na nasze ruchomości. Leżą w szopie tuż pod dachem wspartym na sześciu słupach. Nie ma drzwi, które by można zamknąć; gospodarz jednak ręczy nam, że nic z jego zagrody zginąć nie może.

Idziemy więc z mapą w ręce zwiedzać pobojuwiska z r. 1915, najpierw na zachód od Przewłoki, do Okszy, po południu na wschód do Medwedowiec<sup>34</sup>. Od domu wspinamy się na brzeg płyty podolskiej, i znow wchodzimy w szeroki jar. W dole zieleni się Strypa, na prawo od nas bieleje cerkiew na horyzoncie wśród zielonych sadów i skał wapiennych. Na zachód rozległa równina z dużym lasem i jeszcze większymi łanami zboża. Staram się odtworzyć w mej wyobraźni obraz z r. 1916 i uzgodnić go ze współczesną rzeczywistością, lecz na darmo; przede wszystkim dlatego, że jak się później okazało po tej stronie Przewłoki wcale podczas wojny nie byłem.

Schodzimy w dół po ścianie, mijamy dużą murowaną szkołę z polskim napisem, przechodzimy koło bab piorących lub bielących płótno wodą źródlaną, która bije spod skał wapiennych. Przechodzimy całą wieś. Dopiero kiedy znaleźliśmy się na głównej drodze, przypomniał mi się mostek, a potem i domy; właściwie dom, gdzie mieszkałem dwa tygodnie w maju 1916 roku nie istnieje, ale jego miejsce rozpoznałem na pewno. Nie zatrzymując się, skręcamy na drogę do

<sup>33</sup> Przewłoka – wieś w powiecie buczackim.

<sup>34</sup> Medwedowiec – wieś, powiat Buczacz.

Olszy<sup>35</sup>. Błotko czarne, podolskie, lepkie i ciężkie, zaczyna dopiero podsychać; my w białych tenisówkach skaczemy z jednej suchej oazy na drugą i z trudem tylko przemykamy się bez zabłocenia. Ludzie gapią się na nas, podrażnieni widokiem białych czapek i niekompletnym, bo bez bluzki, strojem miejskim.

Poza wsią wchodzimy z drogi na suchą ścieżkę i maszerujemy szybko. Dzie-dziec śpiewa wojskowe piosenki, nie wtóruję mu jak zwykle, słońce praży. Na lewo od drogi leży las liściasty – znany mi, naprawdę poznaję go. Często chodziłem do niego i podglądałem ptaki. Wyliczam Dziedzicowi, ile tam gnieździło się drzemlików, kań, puszczyków, dzierzb. Sam się dziwię, ile tego było w tak małym lesie.

Na razie las zostawiamy z boku i dążymy do Okszy<sup>36</sup>; z szerokiego traku zbaczamy na mniejszą drogę polną, z niej na jeszcze mniejszą. Na każdym skrzyżowaniu dróg jakaś figura święta lub kamienny krzyż. Okszę widać już. Zdaje mi się, że jakoś leży za daleko od domu. Pamiętam, jak 11 VII 1916 r. po trzecim ogniu huraganowym – ostatni trwał godzin 10 – dostałem się do niewoli rosyjskiej. Przestrzeń od brzegu wsi do lasu przeszedłem bardzo szybko, może mi się zresztą tylko tak wydawało, bo *die Toten reiten schnell*<sup>37</sup>, a wtedy byłem prawie martwy od silnych wrażeń.

Wchodzimy do wsi znowu drogą błotnistą. Wydaje mi się, że poznaję miejsce, gdzie były okopy; jeszcze koło drogi sterczą murowane fundamenty zburzonej podczas wojny szkoły (później dowiaduję się, że to był dom ludowy), w przeciwnym kierunku opada łagodnie zbocze ku potokowi. Rozmieszczenie domów jednak zupełnie inne, niż podczas wojny. Idziemy dalej przez wieś, aby dojść do folwarku Wiszniki. Na końcu wsi dowiadujemy się, że folwark przestał istnieć – sparcelowany. Decydujemy się na powrót.

Gożąco, chcemy napić się piwa, ale w sklepach mają tylko sól. Bieda na wsi. Żeby nie wracać tą samą drogą, przechodzimy przez pole do drugiego równoległego szeregu domów. W pierwszym – z wyglądu zasobnym dostajemy maślankę. Właściciele – Polacy spod Przeworska – chętnie gwarzą tonem nastrojowym na nutę polskiego imperializmu. Oksza to właściwie wieś podwójna. Wzdłuż jednej ulicy mieszkają Ukraińcy, wzdłuż drugiej, równoległej do pierwszej polscy koloniści. Nasi gospodarze mówią o Ukraińcach z przekąsem. Wojna zupełnie ich zniszczyła. Wnet jednak domy odbudowali, porządniejsze od ukraińskich. Powodzi im się względnie dobrze, ziemi mają 25 morgów, i to dobrej ziemi. Koloniści trzymają się zwartą masą. Mają zorganizowany dom ludowy, a obecnie budują nowy lokalik. Próbują konkurować z Maśłosojuzem<sup>38</sup>. Zostawiamy im przemocą pieniądze za maślankę i szybko powracamy w kierunku Przewłoki; przed wsią skręcamy przez duże pastwisko do lasu.

<sup>35</sup> Olsza – wieś nad rzeką Nidą.

<sup>36</sup> Oksza – wieś nad rzeką Nidą.

<sup>37</sup> *Toten reiten schnell* – zmarli jadą szybko.

<sup>38</sup> Maśłosojuż – związek ukraiński.

Las wojenny musiano wyciąć, bo drzew dużych niewiele, sam młodnik, ponadto całe odcinki zagajnika szpilkowego i akacjowego. Ale droga przez las ta sama i ta sama gajówka, koło której tyle razy chodziłem na spacer i koło której przechodziłem jako jeniec. Zatrzymujemy się i rozmawiamy z ludźmi o wojnie; żyje jeszcze stary gajowy, który w 1916 już jako stary mężczyzna ocalał się przed służbą wojskową i pilnował lasu „pana barona”. Dziś z trudem już chodzi, ma za to liczną rodzinę. Sami Ukraińcy z nami mówią grzecznie po polsku. Sprzedali nam czereśni za 20 groszy tyle, że nie zjedliśmy wszystkich, resztę zabraliśmy na drogę. Czereśnie pierwszorzędnej jakości wyglądają i smakują jak „rejny”. Robię zdjęcie kilku parobków na tle gajówki – chodzi mi głównie o dom, stąd ludzie wyszli wielkości muchy. Mam im posłać odblutki. Na skraju lasu zatrzymujemy się, Dziedzic opala się na głęboki dekolt, ja leżę w cieniu drzewa, drzemię, potem piszę dzienniczek.

Koło południa, po odwaleniu 15 km. decydujemy się na spacer do Medwedowiec<sup>39</sup>. Sypimy przez wieś obtłukując podeszwy, słabo tylko chronione przez ścieniałą gumę pantofli. Zachodzę na podwórze domu, gdzie mieszkałem przed osiemnastu laty. Inny dom stoi na miejscu spalonego. Drzwi zamknięte. Sąsiad informuje mnie, że starzy już pomarli, trzy córki powychodziły za mąż; jedna z nich właśnie gospodarzy w tym domu, tylko dziś jest w Buczaczu na jarmarku. Szkoda, że nie zastałem nikogo z nich. Bardzo byli uprzejmi, kiedy mieszkałem, i potem, kiedy jako jeniec rosyjski przechodziłem przez wieś poczęstowali mnie mlekiem kwaśnym; byłem wtedy głodny, bo przez cały dzień ognia huraganowego nic nie jadłem, a dopiero wieczorem znalazłem się w Przewłoce razem z paru tysiącami żołnierzy 56. i 57. pułku.

Dziedzic już się niecierpliwi; żegnam się więc i spiesznie odchodzimy. We wsi kupujemy w ukraińskiej kooperatywie chleb, wstąpimy po niego w drodze powrotnej. Poprzez Strypę przechodzimy na wzgórze, gdzie podczas wojny stała bateria dalekonośnych armat 10<sup>7</sup>4 cm. Na szczycie wzgórza wieś Zielona; domy malowane jaskrawoczerwono, niebiesko, z białymi filarami. Wszędzie przed domami wbite drzewka jak ostwie, na końcach ich gałęzi suszą się garnki. Za wsią skręcamy na bitą drogę do Buczacza<sup>40</sup> – wysadzaną wiśniami. Z daleka poznaję dwór w Medwedowcach, wsi nie widać, bo leży zasłonięta brzegiem płyty. Przechodzimy jeszcze Nowostawce<sup>41</sup>, podczas wojny byłem tam w na wpół zburzonym kościele. Kościół odbudowany, domy wszystkie nowe. Ze wsi wychodzimy nad stawy. Po drugiej stronie imponujący dwór medwedowiecki. Dojść do niego nie można, bo błota zarosłe szuwarami nie puszczają. Idziemy więc równoległe do nich, zostawiając wieś Medwedowce na prawo i poprzez groblę wychodzimy na dworskie pastwisko. Myjemy zbłocone pantofle, jemy obiad i garujemy w rejonie radziechowskim. [Opalamy] się na słońcu, podziwiając igraszki rybitwy i kobuza.

<sup>39</sup> Medwedowce – zob. przyp. 34.

<sup>40</sup> Buczac – miasto nad rzeką Strypą, powiat buczacki.

<sup>41</sup> Nowostawce – wieś w rejonie radziechowskim na Ukrainie.

O 16. wyelegantowani na ostatni guzik, sypimy do dworu cienistą aleją. Najeżdża z dworu policjant na rowerze. Nasz wygląd budzi w nim podejrzenia, zatrzymuje nas, długo interpeluje; pokazujemy mu legitymację, puszcza nas więc wolno, ale z miny jego widzę, że nie bardzo nam ufa. Dwór ocalał na wojnie, ale wewnętrzne urządzenie przepadło. Właściciel, pan Czajkowski, i jego rządca mieszkają na piętrze, parter stoi pusty, bez mebli. Z gospodarzami idziemy do parku, gdzie w dniu „doschlusowania”<sup>42</sup> do pułku mieliśmy próbne ćwiczenia w ataku. Pięknie jest; duże drzewa, soczysta zieleń, staw podchodzi pod sam park. Wojskowego mostu przez staw, łączącego Medwedowce z dworem, nie ma ani śladu; zburzył go właściciel, gdyż chłopci odwiedzali za często dwór i zabierali różne pamiątki. Poziom w stawie jest wyższy, bo groblę podbudowano. Dwór od stawu wygląda okazale, widzę go po raz pierwszy w lecie, bo byłem w nim tylko w zimie, kiedy mieściło się tu dowództwo 56. pułku (pułkownik Czikiel – obecnie jako emeryt mieszkający w Krakowie); na wiosnę oglądałem go przez wodę z Medwedowiec, gdzie staliśmy na wypoczynku. Gospodarze prowadzą nas do grobu porucznika Mioduńskiego. Jako dowódca kompanii wywiadowczej zginął w napadzie na placówki rosyjskie, na przedpolu mej kompanii. Żołnierze postawili mu betonowy pomnik z niemieckim i polskim napisem. Rodzina – nie zatroszczyła się o los grobu. Gdyby wiedzieli, że w mundurze poległego jest zaszyte 500 koron w złocie, na pewno by z całym pietyzmem przenieśli krewniaka na cmentarz. Żegnamy się z gospodarzem (rasowy, młody brunet, profil) i według jego wskazówek wracamy krótszymi drogami do Przewłoki.

Gumowe pantofle bez skarpetek nie nadają się stanowczo na dłuższe marsze; czuję pieczenie stóp i ledwo stawiam nogi na miękkich, na szczęście, miedzach. Udajemy obaj z Dziedzicem przed sobą zuchów i pędzimy szybko, dopiero po paru dniach przyznajemy się do znużenia. Na początku Przewłoki kupujemy chleb po raz drugi, bo nie mamy ochoty, a raczej sił iść, [po] rano kupiony, i skręcamy wzdłuż rzeki ku naszemu obozowi. Kajak, rzeczy, w największym porządku. Przed domem cała rodzina gospodarzy. Ojciec z astmą, ciągle mówiący różaniec, gadatliwa matka i dwie córki. Młodsza kończy wyszywać koszulę barwnymi nićmi na jutrzejszy „prażnik Wszystkich świętych”<sup>43</sup>. Starsza, mężatka, bardzo przystojna szatynka o subtelnych rysach, gotuje nam mleko, bez soli jednak, co smakuje nareszcie jak krowie mleko. Mąż jej służył w wojsku w Piotrkowie, mówi niezłe po polsku. Długo siedzimy na przyzbie i mówimy o wszystkim. Podziwiamy kwiaty sterzące ze strzechy ku ziemi, to jeszcze pozostałość po św. Janie. Namiot rozbijamy w ogrodzie koło kierata. Przecinam bąble na stopach, zażywam proszek na kaszel od dr. Biernackiego, u którego byłem przed wyjazdem na ogólne żądanie Natki, niepotrzebnie wydałem 20 zł (wprost przeciwnie – dopisek zecera).

Zasypiam, znużony, jak pień. Dziedzic, choć twardsza piła ode mnie, miał również, zdaje mi się, wszystkiego na dzisiejszy dzień dość.

<sup>42</sup> Doschlusowania – dołączenia.

<sup>43</sup> Prażnik – kiermasz.

12 VII czwartek

Świąteczny nastrój we wsi. Dziewczęta i młode kobiety wystrojone w jaskrawe suknie i trzewiki wysoko sznurowane. Gospodyni z namaszczeniem miesza w dużej dzieży ziemniaki i ser na pierogi, co chwila rozwija jakiś papierek i dorzuca szczyptę różnych ingrediencji. Kot z łakomą miną ociera się o jej spódnicę. Stary gospodarz, gruzlik bez oka, modli się na różańcu. Zwolna jemy śniadanie i pakujemy się. Robimy zdjęcia młodszych członków rodziny, kobiety grymaszą, szczególnie synowa. Rzeczy odnosimy przez ogród do rzeki, otrzymujemy na drogę garnek soczystych czereśni, które bardzo nam smakują w upalny dzień.

W Żurawinach spotykamy trzy rybaczki. Starsze baby, ubrane jak w zimie z chustami na plecach brodzą po wodzie i małymi sieciami łowią ryby. Co złowią, wkładają do dzbanów, zawieszonych na piersiach. Tłumaczą nam, że mężczyźni łowią dużymi sieciami, a one tylko dziś na obiad muszą coś przynieść.

Brzegi Strypy wysokie, trawiaste lub olesione. Nie mogę jednak wiele podziwiać, bo noga odbita na wczorajszym spacerze mocno mi dokucza. Wstyd dla staro piechura urządzać się w ten sposób. Poza tym na odcinku Przewłoka–Buczacz sześć młynów, tyleż grobli i tyle obnoszeń kajaka dobijają wrażliwość na piękno. Dno Strypy miejscami kamieniste szoruje powłokę kajaka.

W Podzameczku<sup>44</sup> zapatrzyłem się na most kolejowy, spinający brzegi rzeki bardzo wysoko ponad naszymi głowami i skierowałem kajak na kamień ukryty we wodzie – zderzenie, słaby trzask i pękł dolny pręt szkieletu łodzi.

Przed Buczaczem<sup>45</sup> tama betonowa spiętrzyła wodę na znacznej przestrzeni. W sztucznym stawie kąpią się ukostiumowani ludzie. Dochodzi południe, zatrzymujemy się więc, pływamy trochę i nadstawiamy opaloną skórę na spadającą z grobli wodę. Nie wiem, kiedy rozbijam palec u nogi o kamienie. Obaj mamy ponadto rubinowe pierścienie na palcach rąk, powstałe przez zderzenie skóry przy noszeniu kajaka. Wykąpani odbijamy od kąpieliska. Dziedzic układa pantofle na burcie, aby wyschły; nim zdążyły wyschnąć, jeden znikł pod wiodą, poszukiwania za nim nie dały żadnego rezultatu.

Coraz gęściejsze domki miejskiego typu zwiastują, że Buczacz się zbliża. Rzeka wężyje i pogłębia się. W straszliwym żarze słonecznym wiosłujemy od niechcenia, prąd niesie nas szybko i już jesteśmy w mieście. Domy Buczacza schodzą do rzeki, otoczone ogrodami. Rynek i większość kamienic skupione w prawobrzeżnej kotlinie. Nad wszystkim góruje wysoki brzeg z ruinami zamku. Szukamy miejsca do lądowania, ale nic odpowiedniego nie ma. Tymczasem przed mostem kołowym ponosi nas wściekły prąd. Nie chcąc wpaść na obmurowany brzeg, naciskam za nerwowo na ster w stronę przeciwną, sznurki pękają i fale rzucają „Zucha” wraz z załogą pod nogi rybaka stojącego na piaszczystej mieliźnie. Na szczęście skończyło się tylko na emocji. Ściągamy łódź na wodę i z wolna

<sup>44</sup> Podzameczek – wieś, powiat buczacki.

<sup>45</sup> Buczacz – miasto powiatowe nad rzeką Strypą.

sterując wiosłem pędzujemy w dół. Wreszcie zatrzymuje nas tama prawie na końcu miasta.

Po krótkim wywiadzie decydujemy się na przerwę jazdy. Kajak i rzeczy wnosimy do parku Potockiego. Dozorca parku nam w tym pomaga (50 gr). Pod cienistym drzewem, naprzeciwko ruin zamku biwakujemy dwie godziny (13<sup>30</sup>–16<sup>30</sup>). Ubrany po miejsku idę na obiad do Vidala, Kroata osiadłego w Buczaczu; ma przyzwoitą restaurację z ciastkami i piwem. Na poczcie nie ma *poste restante*, jak to było do przewidzenia. Wysyłam kartki do Natki i Jordanowa. Z długim chlebem pod pachą, masłem i widokówkami wracam do łodzi. Dziedzic znowu idzie na obiad i na kupno pantofli. Doprowadzam tymczasem ster do porządku, pęknięty kijek owijam szmatą. Żydki pchają się przez płot do parku, oglądają kajak oczyma i rękoma. Wreszcie dozorca parku pędzi ich kijem przez ulicę.

Duży kawał niesiemy nasz wehikuł i dobytek przy pomocy paru chłopców. Strypa jest tu płytka, kamienista. Co chwila musimy wysiadać, chodzimy jednak we wodzie już w pantoflach, by nie obijać palców. Ze zdziwieniem stwierdzamy, że kajak pije wodę. Dwukrotnie wylewamy ją kubkami. Tymczasem brzegi robią się tak piękne, jak przy przelomie Dunajca pod Rożnowem<sup>46</sup>; wysokie ściany zwężają dolinę rzeki. Las różnobarwny porasta je aż po wodę. Miejscami ciągną się między lasem a rzeką pasy łąki. Czarowny kraj mijamy tu, nie widząc domów, ludzi i młynów na przestrzeni szeregu kilometrów. Słońce oświetla tylko górne drzewa, na rzece panuje miły chłód i cień.

Dojeżdżamy w końcu do Żyźniomierza – młyna. Wieś znajduje się o kilometr na wierzchu płyty podolskiej. Trafiamy na moment ratowania topielca. Bez naszej pomocy wyłowiono go i ocucono. Łądujemy, wyciągamy kajak, wylewamy z niego wodę i z przykrością widzimy, że dużo rzeczy nam podmokło, część ubrań, lecz najgorsze nieszczęście to prowianty. Chleb mokry, cukierki roztopiły się i oblepiły woreczek słodkim syropem, cwibak, arcydzieło Natki (biedni, wygłodniali, jeżeli ten gneciuch wydawał wam się arcydziełem – dop. zecera) był już pokruszony, teraz zmókł, decydujemy się wysuszyć go, co też się udaje. Resztę zmoczonych zapasów wyrzucamy.

Znużeni rozbijamy namiot. Młynarz przynosi mleko, chleb, jajka – zwykła kolacja. Chłoniemy w siebie urok i ciszę otoczenia, wypoczywamy. Chętnie przyjechałbym tu z Natką na tydzień, posiedzieć, popróżnować, połazić, pogwarzyć. Opatruję nogę i wychodzę pożegnać słońce ze szczytu ścianki jaru Strypy. A potem sen, trochę niespokojny, ale krzepiący.

13 VII piątek

Dziedzic wstaje wcześnie, łązi nad wodą i po zalesionych ścianach jaru. Ja śpię, potem, leżę, bo lewa noga mnie drze, stopa napuchła, a pod palcami ropieje. Zakładam opatrunek z apteczki. Wstaję, ale stwierdzam, że lewa noga nie nadaje się do

<sup>46</sup> Rożnów – wieś nad jeziorem w powiecie nowosądeckim.

chodzenia ani do stania. Naprawiam kajak, który ma dwie małe dziurki na wylot i mnóstwo zadrapań. Po naprawie świeci na powłóce 16 niebieskich łątek.

Potem śniadanie i gwara pod wierzbą. Żyźniomierz opuszczamy późno, aż do wieczora towarzyszą nam wysokie zalesione ścianki Strypy. Między drzewami przeświecają białawe lub czerwone skałki. To chyba najpiękniejszy odcinek Strypy, gdzie przecina się przez płytę podolską, ryjąc w niej meandryczne<sup>47</sup> jary. Na każdym skręcie, a jest ich dużo, wiemy z doświadczenia, że czeka nas woda płytka o dnie kamienistym. Wysiadamy; Dziedzic holuje kajak, ja trzymam lewą – obolałą nogę w kajaku, a prawą kuszytkam po dnie rzeki. Mimo to spód „Zucha” szoruje po kamieniach. W ogóle rzadko wiosłujemy na całą siłę. Wyrabia nam się ocena nurtu rzeki. Zgranymi ruchami, kontrą i sterem przewijamy się między kamieniami, ratując się w gorętszych chwilach piórem wiosła, którym odbijamy się od skałek. Pod wieczór mijamy z łatwością miejsca, gdzie byśmy jeszcze rano łódź holowali. Dzięki napięciu uwagi w kierunku oceny raf po obliczu powierzchni wody, nie obserwujemy dokładnie zimorodków, turkawek, pluszczów, myszołowów i kań<sup>48</sup>.

W Lesneszańcach powyżej młyna zatrzymujemy się na obiad. Dziedzic idzie po wodę daleko do źródła. Gotujemy zwykłą strawę – rosół magiczny z grysiem, jaja na słoninie, herbatę do wysuszonego cwibaka. Zjadamy z apetytem, po czym poobiednia drzemka. Następnie Dziedzic holuje sam kajak po kamieniach, podczas gdy ja przecinam ścieżką zakręt i czatuję z aparatem przy kładce z dużych kamieni, ułożonych szeregiem w poprzek rzeki. Nadchodzi kajak z powiększoną załogą; jacyś chłopcy kąpali się i eskortują niewidziany dotąd wehikuł<sup>49</sup>. Poprzez kładkę kamienną przekładamy kajak bez wyładowywania rzeczy i płyniemy dalej na dnie podobnie pięknego jaru, jak rano. Skoromochy<sup>50</sup> są naszym celem. Wieczór się zbliża. Płoszymy całe rodziny kaczki, młode uciekają w trawy przybrzeżne, stare z krzykiem ulatują w powietrze.

Wreszcie i Skoromochy; duży stan wody, będzie więc grobla i młyn. Ściany jaru rozstępują się szeroko. Po prawej stronie skośnym pasem bieje szeroka droga do góry rzeki, jakieś auto miga po niej. Cieszy nas ten wykwit cywilizacji, tak dawno, bo jeszcze w Krakowie ostatni raz oglądany. Dobijamy do brzegu i znowu stara piosenka: stawianie namiotu, ubrania, które dziś nie zamokły, bo rzeczy ułożyliśmy na materacach gumowych. Dziedzic idzie po mleko do młyna. Wraca z niczym już po ciemku. Nie wiemy, czy mleka naprawdę nie ma, czy też Ukraińcy nie chcą nam go sprzedać. Tymczasem dróżnik opowiada, że za rok będzie tu „lotnisko” (pomieszkał je z letniskiem). Buduje się obecnie ładny dom dróżnika, z izbami na stację turystyczną. Bardzo dobry pomysł. Okolica tak piękna, że powinna w najbliższym czasie znieść turystów.

<sup>47</sup> Meandryczny – mający kształt meandry lub ornamentu.

<sup>48</sup> Zimorodek – ptak z rodziny o tej samej nazwie; turkawka – ptak z rodziny gołębiowatych; pluszcz – ptak z rodziny o tej samej nazwie; myszołow i kania – ptaki drapieżne z rodziny sokołów.

<sup>49</sup> Wehikuł – nienowoczesny środek lokomocji.

<sup>50</sup> Skoromochy – wieś w powiecie sokalskim.



14 VII sobota

Rano obnosimy kajak przez tamę i holujemy go kawał aż do młyna, bo młynówka ma silny prąd i duże kamienie. Stąpam dziś dobrze na lewą nogę, obutą oczywiście w pantofle. Przy samym młynie ciasno z obnoszeniem, ślizgam się i siadam z końcem kajaka we wodzie. Dziedzic parzy się pokrzywami. Młynarczyki<sup>51</sup> z Ukrainy patrzą na nas spode łba, nic nie mówią, nawet odpowiadać nie chcą na zapytania zadawane po polsku. Odjeżdżamy więc bez słowa pożegnania. Rzeka dziś spławniejsza, głębsza. Prądziki szczęśliwie przepływamy, holujemy Zucha tylko w kilku miejscach. Z mijaniem młynów też nam się udaje. Młyn w Brzezynie robimy przez dziurę w śluzie. W Sokółce z łatwością i na krótkiej przestrzeni przenosimy nasz wehikuł przez podwórze młyna. Ponieważ nie jedliśmy dziś porządnego śniadania, idę na poszukiwanie mleka do większej chałupy. Młoda gospodyni żenuje się trochę mego stroju (spodenki i koszulka), choć przecież tubylcy noszą tu koszule przepasane paskiem i wypuszczone na białe pantaloney<sup>52</sup>. Rozmawia ze mną jednak doskonałą polszczyzną mazurską, sprzedaje tanio chleb i mleko. Dzban kwaśnego mleka wynoszę do Dziedzica. Ostatnią groblę w Hubinie – 3 km od wsi, a 500 m od Dniestru mijamy, przeciskając kajak przez dziury i przy drugim młynie obozujemy. Oszczędzając nóg, leżę po obiedzie pod wierzbą. Dziedzic tymczasem flirtuje z Ukrainkami, fotografuje dziewczynkę dopiero co uratowaną z topieli, składa wizytę w domu jej rodziców. Odrzuca z niesmakiem przyjęcie kwaśno mleczne. Czuje bowiem jeszcze niesmak po poprzednim, poza tym były jeszcze inne fatalne skutki naszej łapczywości i zachłanności na kwaśne mleko. Niebo dotychczas pogodne, zaczyna pokrywać się czarnymi chmurami, przerywamy więc sjęstę, by przed burzą dotrzeć do Dniestru. Silny prąd unosi nas szybko i prawie bez wysiadań dobijamy do celu naszej dzisiejszej tury. U ujścia spotykamy rodzinę nauczyciela z Beremian, radzą nam podpłynąć Dniestrem kawałek aż do schroniska.

Dniestr wygląda imponująco pod względem szerokości, jak jest głęboki nie orientujemy się. Wynurzamy się z wysokiego jaru Strypy i brak nam tu tych wysokich ścianek. Za skrzętem widać jednak zaraz jeden wysoki brzeg lewy Dniestru i prawy płaski. Pod samą ścianą widnieje na drewnianym domku napis „Schronisko”. Przybijamy do portu, zaznaczonego słupem w biało-niebieskie prążki. Chcemy chwilę zatrzymać się, aby przeczekać ewentualny deszcz. Zabezpieczamy kajak i w kostiumach wioślarskich idziemy do schroniska. Tymczasem lunął deszczyk. Z łąki i lasu zeszła się gromadka tubylców, pasterzy i dziewcząt, wojskowi sierżanci z żonami, nauczyciel z rodziną. Gwarzymy z nimi. Schronisko wybudował p. Heydel z Beremian<sup>53</sup>, który chce tu założyć miejsce letniskowe. Okolica naprawdę piękna, piękniejsza może niż zaleszczycka, tylko daleko od stacji. Na razie też nic się tu nie buduje.

<sup>51</sup> Młynarczyk – rzemieślnik zajmujący się młynarstwem.

<sup>52</sup> Pantaloney – długie, szerokie spodnie.

<sup>53</sup> Beremiany – wieś, powiat Buczac.

Niebo zupełnie poczerwiało. Korzystamy z przerwy w deszczu i znosimy nasz dobytek na taras schroniska. Obok domu, w sosnowym lasku budujemy namiot, ubieramy się cieplej, pijemy herbatę i zgadujemy, jak długo może jeszcze lać. Pod wieczór wypogadza się. Siedzimy na tarasie (szumnie nazwane klepisko przed schroniskiem, pokryte dachem i zaopatrzone w stoły), przeżywamy przeżycia ze Strypy, informujemy się o Beremianach i tutejszym życiu. Nauczyciel, przedstawiciel polskiego imperializmu, marzy o spolonizowaniu Rusinów. Po odjeździe ostatnich ludzi zapada zmrok. Na Dniestrze wynurzają się sylwetki łodzi, rybacy jadą pod prąd łowić ryby – sumy, jesiotry, mareny. Obok schroniska zajeżdża wóz nad wodę. Woźnica dużo wykrzykuje. Z domu po drugiej stronie rzeki ktoś nadchodzi, rozmowa krótka; łódka odrywa się od brzegu i zdąża ku nam; ładują na nią bronie i śmiały a zreżny wioślarz przewozi je szczęśliwie na miejsce przeznaczenia. Mrok gęstnieje. Kontury ścianek Dniestru i bulgotanie wody, bijącej o kamienie przypomina fiordy Norwegii. Całość działa kojąco na nerwy i usposobienie. W dziwnie szczęśliwym nastroju włączę do namiotu i zaraz zasypiam.

#### 15 VII niedziela

Po śniadaniu w schronisku (herbata) idziemy na spacer do Beremian, bo dzień zapowiada się pogodny, choć jeszcze chmurki i mgiełki przechodzą po okolicy. Pniemy się dość wygodną ścieżką po narożniku ścianki. Na prawo rozlewa się Dniestr, na lewo jar, pewno z jakimś małym potoczkiem, niewidocznym jednak poprzez gęste zarośla. Ściankę, po której się pniemy, porastają trawy, jakieś wspaniałe, nieznanne nam kwiaty i krzaczaste drzewa. Znajdujemy pająka żółtego na żółtych kwiatkach (mimikry)<sup>54</sup>, złowił kraśnika<sup>55</sup> i trzyma go łapkami. Chcę go sfotografować, jednak podczas przygotowań kraśnik odleciał, a pająk spadł na ziemię. Docieramy wreszcie na wierzch płyty. Spod triangułu<sup>56</sup> robimy kilka zdjęć. Trudno się domyśleć, że stoimy na górze, bo widzimy tylko płaszczyznę pól, od Dniestru i jaru odgradzają nas gęste zarośla. Ścieżką, a częściowo instynktem kierujemy się ku dworowi. Po drodze płoszymy stadka (a może rodziny) dudków. Towarzyszą nam czas dłuższy i pozwalają się podejść dość blisko. Lornetka Dziedzica zbliża je na odległość ręki. Mijamy gorzelnię z wzorowymi tablicami orientacyjnymi. Z daleka sterczą ruiny jakichś zabudowań, a obok drewniany dwór, parterowy, rozłożysty, czysto utrzymany, z ogrodem warzywnym i pasieką. Nie oglądając się na niego, idziemy do czworaków. Dom marny, brudny – miejsce urodzenia Kornela Ujejskiego<sup>57</sup>. Jakaś kobiecina objaśnia nam, że tablica pamiątkowa znajduje się we dworze i pokazuje nam altanę lipową, gdzie miał tworzyć poeta. Altana romantyczna, lipy posadzone w krąg gęsto obok siebie, nakrywają koroną swych liści wnętrze kręgu. Drzewa

<sup>54</sup> Mimikra – odmiana mimetyzmu formy przystosowania ochronnego do środowiska.

<sup>55</sup> Kraśnik – motyl nocny.

<sup>56</sup> Triangulacja – metoda wyznaczania punktów za pomocą układu trójkątów utworzonych przez te punkty.

<sup>57</sup> Kornel Ujejski – (1823–1897) – poeta, publicysta.

niestety już przekwitły. Gdyby nas tak zapach kwiatów lipy odurzył, może byśmy też jakieś poematy spłodzili.

Szybko wracamy na przystań, pakujemy się i odpływamy na drugą stronę rzeki. Dziedzic idzie po morele, ja czuwam nad kajakiem, siedząc pod potężnym dębem. Notuję przejścia dnia wczorajszego i obserwuję turkawki, które mają ochotę usiąść nade mną. Tymczasem Dziedzic wraca z morelami: 16 sztuk za 1 zł; ładne, ale jeszcze niezupełnie słodkie, powinny jeszcze dojść. Dochodzą jednak wkrótce do naszych żołądków.

Zachodni wiatr i szybki nurt Dniestru ponoszą nas tak, że prawie bez wiosłowania robimy do wieczora 40 km. Chętnie się wagarujemy, bo w powietrzu rozchodzi się jakieś parne lenistwo. Zachwycamy się brakiem śluz do wymijania i dnem, nie wymagającym holowania kajaka. Brzegi Dniestru albo z jednej, albo z obu stron wysokie – ściankowate. Młody las lub krzaki porośły je gęstym płaszczem. W miejscach nagich widać warstwice, górne białe, poniżej czerwone. Na samej rzece częste wyspy, zawsze gęsto zalesione i zdaje się podmokłe; nie zatrzymujemy się na żadnej.

Mijamy szereg miejscowości: Chmielowo<sup>58</sup> tuż koło Beremian<sup>59</sup>, z dużą winnicą, którą zwiedzamy na zmianę, gdyż zawsze ktoś musi pilnować łodzi. Duża przestrzeń od razu zdradza ścianki, zajęte przez winorośle. Jedne krzewy są już stare, inne świeżo sadzone. Całość otoczona drutem kolczastym. W środku wznosi się dom murowany z tłocznik wina.

Ponad winnicą idą druty elektryczne do lamp. Wyrabiają tu wino mszalne. Podczas gdy Dziedzic zwiedza winnicę, rozmawiam przy łodzi z chłopcami wiejskimi. Rodzice ich mają bardzo mało pola. Trudnią się głównie rybactwem, łowią ryby różnego rodzaju za pomocą sieci. Dwa razy w tygodniu sprzedają je handlarzowi, zydkowi, po 1,30 zł kilo, loco Dniestr.

Wieś Latacz<sup>60</sup> znajduje się na brzegu płyty; widać tylko pierwszy rząd domów. Bidyńce<sup>61</sup> na odmianę leżą tuż nad rzeką. Mijamy tu olbrzymi sad morelowy z czerwonymi owocami; ciągnie się przynajmniej na kilometr. Po wsiach widać dużo łodzi, które są, zdaje mi się, drążone w kłodach drzewnych.

Po południu czujemy, że wypada zrobić obiad, tylko nie możemy zdecydować się, w którym miejscu wylądować. Dopływamy do Michalcza. Z lasku, powiedzmy dębowego, dolatuje nas chór dziewczątek, skandujący: „Dziękujemy za dobry obiad”. Automatycznie zawracamy kajak w kierunku głosu i za skrzętem wynurza się piękny, trzypiętrowy dom z tarasem, na którego brzegu stoi kilku panów. Pytamy, czy to pensjonat, czy można by dostać obiad? Komisarz policji w cywilu zaprasza nas gościnnie i pokazuje dom letniskowy Rodziny policyjnej na 100 dzieci. W lipcu są tu dziewczynki, w sierpniu będą chłopcy. Niestety, kolonia niezbyt szczęśliwie

<sup>58</sup> Chmielowo – wieś w powiecie tarnobrzesckim.

<sup>59</sup> Beremiany – zob. przypis 53.

<sup>60</sup> Latacz – wieś w obwodzie tarnopolskim.

<sup>61</sup> Bidyńce – wieś w pow. zaleszczyckim.

idzie, bo przed kilku dniami utonęła jedna dziewczynka w Dniestrze podczas kąpie-  
li. Obiad dostajemy jak marzenie; smakuje nam po naszej jednostajnej kuchni: zupa,  
pół kury pieczonej z ogórkiem, herbata z ciastkiem. Zostawiamy datek na „Rodzinę  
policyjną” i jedziemy dalej.

Kilkaset metrów poniżej mijamy nowy most żelazny, konstrukcja mostu dosko-  
nale harmonizuje z Dniestrem, brzegami i niebem. Najbardziej fanatyczny ochro-  
niarz przyrody musiałby przyznać, że krajobraz zyskał dzięki niemu na piękności.

Uściczko<sup>62</sup> – miasteczko zapewne dość duże, ciągnie się wzdłuż Dniestru na  
płaskim brzegu. W Iwaniu<sup>63</sup> ukraińskie dzieci wymyślają nam z brzegu od Pola-  
ków i śpiewają coś niepoehlebnego pod naszym adresem.

Horodnica<sup>64</sup> – kres naszej dzisiejszej wędrówki – duża wieś prawo- a częściowo  
lewobrzeżna, z placówką KOP-u i obozem harcerskim. Od Kopisty dowiadujemy  
się, że informacje w przewodniku Heinricha są przestarzałe. O przepustki starać  
się jeszcze nie potrzeba. Dopiero wydają je w Zaleszczykach<sup>65</sup>. Namiot rozbijamy  
na lewym brzegu rzeki, wejściem na zachód, co mnie denerwuje ze względu na za-  
chodnie chmury, grożące deszczem. Widok jednak na wieś po drugiej stronie rzeki  
i na prom w ciągłym ruchu odpędzają zbyt pesymistyczne myśli. Idę po mleko. Bab  
nie ma we wsi, są w kościele, czy gdzieś na weselu. Stary chłop oburza się, kiedy go  
pytam o mleko, nie zna wcale krowy, przecież on „biedny”. Ostatecznie zamawiam  
gdzieś mleko na 7. wieczór i na rano oraz kupuję gruszki.

Nad Dniestrem widzieliśmy ptaków na sztuki mniej, niż nad Strypą, ale za to  
okazalsze. Lornetka ciągle krąży między rękami właściciela a moimi. Czaple siwe  
widzimy często. Pojedyncze latają, brodzą we wodzie, stoją na brzegu, dopuszczają  
nas dość blisko. Rozmaite drapieżce krążą przeważnie ponad ściankami i brze-  
giem wody; kanie płowe, myszołowy, sokoliki i orliki<sup>66</sup>.

Mijają nas o kilkanaście kroków. Dużo biegusików. Tu chyba jest kraina trznadli  
i drapieżców. Dziedzic już doskonale wabi trznadle.

## 17 VII poniedziałek

Rano przynosi nam Ukrainiec zamówione mleko, chleb i jaja. Rozmawia niezłą  
polszczyzną. Wczoraj wieczorem w ogóle ze mną mówić nie chciał. Dopiero gdy  
pogadałem z kobietami i pochwaliłem naprawdę ładny i czysty dom, przemówił,  
początkowo po ukraińsku, potem gwarą mieszaną. Widać z tego, że stosunki pol-  
sko-ukraińskie są napięte.

Prąd i wiatr niosą nas bez pracy ku Zaleszczykom. W Żezowie<sup>67</sup> zaczyna się  
granica polsko-rumuńska. W Pieczarnie, gdzieśmy z Natką byli raz na spacerze,

<sup>62</sup> Uściczko – wieś w powiecie zaleszczyckim.

<sup>63</sup> Iwań – wieś rejon słucki, obwód miński.

<sup>64</sup> Horodnica – wieś w rejonie husiatyńskim obwodu tarnopolskiego.

<sup>65</sup> Zaleszczyki – miasto położone w zakolu Dniestru, w obwodzie tarnopolskim.

<sup>66</sup> Orlik i kanie płowe – ptaki drapieżne z rodziny sokołów.

<sup>67</sup> Żezów – wzniesienie w Beskidzie Wyspowym.

zatrzymuje nas Kopista i legitymuje. Cudowne źródło pod Zaleszczykami porządnie obmurowane. Skalistą plażę rozbudowano bardzo od czasu naszego pobytu. Mijamy most, park Turnauów, lądujemy w starych Zaleszczykach. Brzegi rano albo płaskie, a jeżeli ściankowate, to niezarośnięte lasami. Tłumy pustulek, zapewne całe rodziny, siadają na brzegach, na ziemi lub unoszą się nad ściankami. Czaple nieliczne, w Pieczarnie rybołówki.

Po wylądowaniu (11<sup>30</sup>) idę pierwszy do miasta, a Dziedzic pilnuje łodzi: 1) Starostwo – pamiętam dom, w którym się mieściło, ale bez pytania o drogę nie mogę trafić. Przepustki do Okopów nie chce mi wydać urzędnik, bo za późno. Wobec tego czekam na starostę i otrzymuję przepustkę. 2) Biegiem na pocztę, zamknięte okienko. Idę do naczelnika, który telefonuje do urzędniczki, aby otworzyła okienko i wydała mi pocztę. Są dwa duże listy do mnie i do Dziedzica. Topiąc się z gorąca, idę na lody do Szpotańskiej. Przy tej sposobności czytam listy. 3) Dorożką do KOP-u po podpis przepustki. Nie zastaję sierżanta. Zostawiam przepustkę u żołnierza w kancelarii, na obiad. 4) „Nasza szosa” wybetonowana, drzewa takie same, jak przed trzema laty, ale jakoś inaczej się teraz czuję, sam i w dzień upalny. Po drodze wysyłam morele od Kirkina do Krakowa. 5) W restauracji trochę gości, częściowo w mundurach, większość jednak w pyjamach. Wokoło brzmi zwrot „panie rotmistrzu”, skierowany do pyjamy. Na chwilę wpada sam starosta, pije z nami kieliszek wina i odjeżdża autem. Po obiedzie piszę kartki do Profesora, Jordanowa i sekretarki. Rozmawiam z gospodarzem. Pensjonat „Słoneczna”, w którym mieszkaliśmy razem z Natką, zmienił właścicielkę oraz nazwę na „Janina”. 6) Znów dorożką do KOP-u po podpisaną przepustkę. Parę zakupów – chleb, klisze, spirytus do palenia i luzuję Dziedzica.

Od 14<sup>30</sup>–16<sup>30</sup> siedzę w cieniu akacji i czuwam nad kajakiem. Na ściance rumuńskiego brzegu żerują dwa kruki. Płoszą kozy, chodzące po nagich stromiznach, kłócą się z wilczurem rumuńskiej straży granicznej. Nie przypuszczałem, że kruki mogą być tak śmiałe. Czarne chmury każą mi zabezpieczyć kajak, burza przechodzi jednak bokiem.

Dalsza jazda przeważnie na wiosłach. Mijamy Dobrowlany i stanicę w Bedrykowcach<sup>68</sup>. Przez dłuższy czas towarzyszy nam kilka biegusików. Czaple pędzimy przed sobą. Siadają na kamieniach tuż nad wodą i czekają na nas znieruchomiełe, dopuszczając nas na kilkanaście kroków. Ostatecznie zebrało się ich 9 sztuk. Drą się jak gęsi. Między 89–90 km spotykamy nareszcie szurki pszczołojadki (*Merops apia-ster*)<sup>69</sup>, ze 20 sztuk. Siadają na końcach gałęzi krzewów i drzew. Skrzydła w locie podobne mają do szpaków, ogon długi, lot jaskółkowy. W locie jaskrawych barw nie znać, natomiast siedzące na drzewach i oglądane przez lornetkę, wzbudziły zachwyty Dziedzica. W gliniastych ściankach znajdujemy gniazda, niestety już opuszczone.

Dalsze brzegi Dniestru przeważnie gliniaste, nagie z erozyjnymi strukturami. Wsie rysują się ostro na tle nieba, bo ciągną się na krawędzi płyty. Wpadamy

<sup>68</sup> Bedrykowce – wieś w powiecie Zaleszczyki.

<sup>69</sup> Pszczołojad – ptak drapieżny z rodziny sokołów.

w chmurę jętek<sup>70</sup> ciągnącą się na parę kilometrów, łowimy kilka sztuk dla Miłkowskiego.

Szukamy miejsca do lądowania, naturalnie w pobliżu jakiejś wsi. Nie wiedząc kiedy dobijamy do Gródka u ujścia Seretu. Lądujemy na placyku otoczonym wikliną. Mała tabliczka przybita na patyku objaśnia nas (w języku polskim), że to miejsce przeznaczone do prania. Deszcz był tu dziś po południu bardzo duży, jeszcze wszystko mokre. Po rozbiciu namiotu idę do wsi po mleko, dowiaduję się także, że morele już się kończą.

Przy kolacji asystuje nam kilkoro dzieci i starszy chłop – wielki bywalec, zna Kanadę, Amsterdam i Wiedeń. Opowiada o dobrych, wojennych czasach. Chwali sobie szczególnie Petlurowców. Był ordynansem; żarcie dostawał znakomite, dobrze płacili, a co jeszcze zrabował (mówi: zabrał, znalazł). Dziś ciężko żyć, wzdycha więc do nowej wojny. Po polsku mówi niezłe. Dzieci, o ile chodzą do szkoły, mówią także po polsku.

17 VII wtorek

Z zapasem trzykilowym moreli (á 50 gr) jedziemy wzdłuż Gródka do ujścia Seretu. Po drodze mijamy myjących się harcerzy. Seretem lekko ciągniemy w górę, koło promu wysiadamy z łodzi i pniemy się na lewą ściankę rzeki. Z góry widok wspaniały; na wschód deltowate ujście Dniestru, na zachód zakręty Seretu wśród brzegów obrosłych lasem. Robimy zdjęcia. Jakiś młodzian z rowerem ostrzega nas, że tu fotografować nie wolno, bo znajdujemy się w strefie granicznej. Rowerzystę przewozi prom, ludzie piesi, bydło i fury jadą w bród, chociaż woda sięga dużo powyżej kolan. Przewoźnik promu niewiele może zarobić, tym bardziej że za przewóz najchętniej płacą jabłkami lub jajkami.

Jedziemy w górę rzeki; na rwących odcinkach holujemy Zucha na sznurku – znad Seretu. W pierwszej napotkanej wsi Kułakowcach<sup>71</sup> zostawiamy kajak w krzakach i wspinamy się na stromy brzeg, aby zobaczyć cerkiew. Zamknięta, ale i z zewnątrz piękna, drewniana, mniejsza niż w Dobrowlanach<sup>72</sup>. Wracamy do Zucha i jedziemy dalej. Na wysokości kościoła krytego czerwoną blachą podziwiamy trzy szurki. To wiosłujemy, to brodzimy w pantoflach po wodzie. Czujemy się świetnie, beztrudnie, dziecinnie – przeżywamy pełne szczęście wodnych ludzi. Bez większych trudności mijamy tamę młyna z kajakiem w rękach i drzemy dalej w górę. Otaczają nas ścianki o wyraźnych warstwicach, górą obrośnięte lasem.

Szczytowce<sup>73</sup> – wieś na wzgórku, czerwony kościół góruje nad nią. Zatrzymujemy się, aby sfotografować kościół. Tymczasem nadchodzą czarne chmury z południa i północy. Z lekka kropi już deszcz; może jednak burza przejdzie bo-

<sup>70</sup> Jętki – rząd owadów o dwóch parach skrzydeł, małej głowie.

<sup>71</sup> Kułakowce – wieś powiat Zaleszczyki.

<sup>72</sup> Dobrowlany – wieś w rejonie stryjskim.

<sup>73</sup> Szczytowce – wieś w rejonie zaleszczyckim, obwód tarnopolski.

kiem – myślimy. Zabezpieczamy kajak i chronimy się pod wierzby. Zabawny deszczyk wprawia nas w dobry humor. Zamierzamy gotować obiad (12<sup>20</sup>), tymczasem jednak rozlewa się coraz bardziej. Przez liście przecieka woda strumieniami. Dzie-dzic ugania w spodenkach po łące, fika kozły, aby nie zmarznąć. Ja w wiatrówce tulę się plecami do pochylonego pnia wierzby i dłuższy czas tryumfuję nad wodą. Deszcz gęstnieje ciągle, kłębowisko wody spływa na ziemię, ot okropne oberwanie chmury. Z kory wpływa mi za kark struga zimnej wody. Ze ścianek spływają rwące żółte strumienie, jesteśmy odcięci od drogi, a trawę w naszym wierzbowym lasku zalewa staw, z którego sterczą zielonawe wyspy wyższych odcinków.

Tknięty złymi myślami zaglądam do kajaka, do którego nabrało się już z 5 cm wody przez wierzch nie całkiem szczelny. Dobywamy namiot, układamy go na suchym miejscu i znosimy do niego wszystkie rzeczy. Dziedzic też tam włązi, zastępując kijki do podpierania dachu, dzięki czemu woda spływa i nie przesiąka do środka.

Po dwóch godzinach ulewy znosimy rzeczy do najbliższej chałupy. Lokujemy je w stodole plecionej z patyków, bardzo więc przewiewnej. Przeczekujemy tu resztę lekkiego już deszczu razem z gromadką kosiarzy i żniwiarzy, którzy, pomimo że są Ukraińcami, starają się z nami mówić po polsku. Wobec przemoczenia ubrań (bielizna i zapasy tym razem ocalały), nie ma mowy o dalszej jeździe. Gospodyni zaprasza nas do odświętnej połowy chaty. Gotujemy obiad na maszynce (ostatnie maggi, tapioka<sup>74</sup> i jajka). Zabawiamy, głównie Dziedzic, wnuczkę gospodarzy Petruszkę, dwuletnią ładną i mądrą dziewczynkę. Gwarzymy ze starymi i matką dziecka. Mają cztery morgi ziemi, żyją dobrze. Mąż młodej pracuje u nauczyciela za parobka, zarabiając 15 zł miesięcznie i jedzenie. Mają jedno dziecko i uważają, że to wystarczy, nie stać ich na więcej. Sąsiad organista ma dziewięcioro – głód i nędzą, wymizerowane dzieci nie mają się w co ubrać.

Opowiadają nam o amorze wiejskim, wojującym nożem, śmierciami niewygodnych mężów. Żałują, że rządy nie karzą śmiercią takich spraw, bo kobiety się bardzo rozzuchwalają. Młoda służyła w mieście, zazdrości państwu, że jak im jest źle, to się rozejdą i sprawa załatwiona. Poza tym skarżą się na złodziei, których z nędzy namnożyło się wielu.

Wieczorem wychodzimy nad rzekę szukać miejsca na namiot. Wszystko strasznie podmoczone. Gospodarz pokazuje nam swą plantację tytoniu. Objasnia, że to „Węgier”, ma 4000 szczepów, chodzi koło nich lepiej, niż koło pszenicy. Za kilo liści, zależnie od klasy, otrzyma 1–3 zł. Skarży się na brak zarobku; koni nie ma, trzyma tylko dwie krowy, z pięć kur. Gdy dają im pod młócone snopeczki żyta, wielkie to święto. Kury, źle odżywione, mało jak niosą.

Szurki (15 sztuk) lecą nad nami. Napotkany chłopak poznaje po locie i mówi, że gnieździły się tuż koło domu, tam gdzie jakaś kobieta chciała budować dom, co jest rzeczą bardzo łatwą; robi się cegły z gliny i słomy, suszy, zlepia potem gliną ściany i nakrywa dachem. Wójt nie pozwolił jej domu skończyć, bo stawiła nie

<sup>74</sup> Tapioka – kasza z mączki ziemniaczanej i skrobi ryżowej.

na swoim i do tego w miejscu, gdzie na wiosnę woda ze śniegu lub po burzach płynie strumieniami. Dziś, na przykład, byłoby jej dom zabrało.

Ostatecznie nocujemy dziś w izbie; o godzinie ósmej wieczorem śpimy już spokojnie w łózkach, bo gospodyni zaręczała nam, że pcheł u niej nie ma. Czytałem dziś Zoszczenkę<sup>75</sup> i „najnowsze” wiadomości z Kurierka z dn. 8 VII.

18 VII środa

Wstajemy już o 5. po dobrej nocy, bo rzeczywiście pcheł nie było. Golimy się i pieszo idziemy do Holihrad. Zapominamy o lornetce i czapkach. Chusteczki na głowę zastępują te ostatnie. Dopieka. Droga pędzimy przed sobą dudki, dzierzby czarnoczelne<sup>76</sup>. Zbaczamy z szosy nad Seret, gdzie otwiera się przed nami nieoczekiwany widok; w dół rzeki zakręty o ściankach z obu stron obrośniętych lasami, w górę po jednej stronie naga ściana z wypłukanymi olbrzymimi głazami, po drugiej las i wieś.

W słońcu wygląda wszystko bryłowato. Po wczorajszej ulewie zostały świeże koryta potoków, dziś sucho, mijamy chłopów, ubranych w zgrzebne koszule, przepasane skórzanym pasem, w kapeluszach słomkowych wysokich, o szerokiej wstążce.

Chcemy kupić moreli, których tu dużo hodują na wsi. Jakiś Kozłowski z Warszawy ma aż siedem morgów sadu. Jest i wino. Wpadamy przypadkiem na dom górala spod Nowego Targu p. Łasia, który siedzi tu od 1919 roku, ma 50 morgów ziemi i niezłe zabudowania. Sam był klerykiem, potem wyjechał do Chicago (jakaś sprawa sercowa). Wrócił i nic o przeszłości nie mówi pomimo, że p. Trojanowska, jego lokatorka (żona urzędnika z Zaleszczyk) co rok przez miesiąc siedzi i wypytuje.

Zrywamy sami morele, najpierw aby zjeść, potem decydujemy się na eksport do Zarzyc i Gorlic. Pouczają nas co zrywać i jak. Pakujemy w paczki p. Trojanowskiej i pod jej kierownictwem obszywamy, a Dziedzic pisze adresy; jutro odjadą do Zaleszczyk i dalej pocztą tak, że w piątek będą u Natki.

Tymczasem lunął deszcz. Zostajemy w domu; p. Trojanowska zaprasza nas do swego pokoju na herbatę, ogórki, chleb i masło. Nie mam jednak apetytu, bo objadłem się moreli. Spędzamy czas na miłej pogwarce. Synek p. Trojanowskiej z pierwszej gimnazjalnej ma ochotę iść z nami do Sfinksa podolskiego. Już wychodzimy, ale deszcz zwraca nas do domu. Gwarzymy więc znów z p. Łasiem o Nowym Targu, a tym, jak tu przybył, jak mu się powodzi. Brat jego pokazuje nam suszarnię tytoniową; jest to cały dom z rurami, wentylatorami, obliczony na tysiąc sznurów liści. Tytoń wymaga najpierw temperatury 20°C przez 24 godz., potem 60°C przez trzy dni. Monopol wymaga teraz suszenia w suszarniach. Palcami nie wolno liścia dotknąć, bo zostaje plama. Pytamy też o ceny: za kilo suszonego tytoniu rasy „tykułaki” płacą 5–6 zł. Do magazynu w Borszczowie w jesieni codziennie

<sup>75</sup> Michał Zoszczenko (1895–1958) rosyjski pisarz, humorysta i satyryk.

<sup>76</sup> Dudek – ptak z rzędu kreskowatych, dzierzby – ptaki z rodziny o tej samej nazwie.



inna wieś dostarcza surowca, który urzędnicy sortują i ważą na dwunastu wagach; wybrakowane liście palą na stosie. Monopol rozdaje zaliczki na nasiona i budowę suszarni.

Łaś serdecznie i przemocą zatrzymuje nas na obiad, który odbywa się w kuchni. Przy akompaniamencie licznych much jemy zupę morelową i pierogi z morelami. Po obiedzie rozmawiamy z gospodarzem w pokoju, gdzie na oknach i podłodze porozkładane są morele. Pokazuje nam swe książki: Mickiewicz, Orkan, nowości rosyjskie. Miły i mądry człowiek. Mówi poprawnie, literackim stylem. Brat jego, typowy góral, mówi po góralsku. Bardzo krytycznie odnosi się do wielkich właścicieli ziemskich – Polaków, którzy w czasach dobrej koniunktury bawili się szeroko, siedzieli za granicą, zaciągali długi, gospodarzyli przez administratorów. Dziś pieniędzy nikt im nie da za darmo, stąd stękają na ciężkie czasy. Podatków nie płacą. Potakuje mu obecny podczas rozmowy egzekutor podatkowy, który stwierdza, że większa własność zalega z podatkami, tak że trudno jest je nawet wyegzekwować. Łasiowi wystarcza na spłatę wszystkich podatków uprawa tytoniu.

Drugą bolączką Łasia jest niezaspokojony popęd kolonizacyjny. Widzi, jak dookoła majątki się parceluje, ale ziemia przechodzi w ręce ukraińskie. Na darmo pisze do krewniaków na Podhalu, na darmo wzywa w Podhalance do emigracji na wschód, nikt nie chce przybyć i wzmocnić element polski na Kresach. Żali się na utrakwizację<sup>77</sup> szkół, bo według niego ukraińskie dzieci znacznie mniej uczą się teraz po polsku, niż dawniej. Ostoja polskości może być dobry ksiądz. Mają właśnie teraz takiego prawdziwego kapłana, który przyjeżdża do różnych wsi, gdzie nie ma kościołów i odprawia nieszpory, a nawet Msze św. po domach.

W czasie grasowania band dywersyjnych przebyli tu gorące chwile. Któregoś dnia zaskoczył żandarm grupę obcych mężczyzn i jakiegoś Ukraińca. Pod grozą użycia karabinu popędził ich przed sobą z rękami podniesionymi do góry do mieszkania Łasia. Nie zrewidował ich jednak. Dywersanci korzystając z zamieszania zaczęli strzelaninę. W rezultacie – jeden z nich zginął od kuli żandarma, drugi od siekiery brata Łasia, reszta uciekła. Teraz panuje spokój. Ukraińcy patrzą jednak wilkiem na przybyszy zza Sanu.

Rozmawiamy też o rzeczach interesujących Łasia najbardziej – to jest o gospodarstwie. Zaprowadził w swej okolicy jarzyny (ogórki, pomidory), a Ukraińcy nauczyli się tego od niego. Łaś plantuje tytoń, najlepszy we wsi. Posadził także morele, kilkanaście morw i najnowszą nowość – soję. Nasion soi nie mógł dostać, pisał do Lwowa, Charbina, Warszawy. Wreszcie zakupił je od obywatela ziemskiego w Tarnopolskim. Dziś ma kilkadziesiąt krzaków. Wystarcza mu zupełnie na kawę do codziennego użytku; podobno ma być dobra.

Mimochodem wspomina Łaś o okolicznej wsi Nowosiółce Kostiukowej<sup>78</sup>, w której urodził się i żył Pan Wołodyjowski z powieści Sienkiewicza.

<sup>77</sup> Utrakwizm – system nauczania polegający na nauczaniu w dwóch językach wykładowych.

<sup>78</sup> Nowosiółka – wieś w rejonie podhojeckim, województwo tarnopolskie.

Harczerz idzie z nami do Sfinksa; jest to duży blok skalny, oparty na małym kamyku tuż nad wodą. Dziedzic wspina się na niego i pozuje do zdjęcia. Ponad nami przelatują cztery szurki, które podobno gnieździły się tutaj, wysoko w „skałach” lessowych, dokąd można dostać się po drabinie. Wracamy koło grot Holigradzkich. Znowu kropi, ale przechodzi bokiem z lewej strony. W Szczytowcach<sup>79</sup> jesteśmy dopiero o wpół do piątej, choć mogliśmy być wcześniej, bo przygodny motocyklista chciał nas podwieźć. Decydujemy się nocować po raz drugi w chacie.

Wychodzimy na pole. W wezbranym Serecie łowią sieciami ryby, ze dwudziestu chłopca. Niewiele dostali, ale cieszą się, że nareszcie wiem, co to za ryba marena (jest podobna do jelca)<sup>80</sup>.

W lasku po drugiej stronie rzeki rogacze ryczą za sarnami. Wspominamy nieudany pościg za zieloną jaszczurką, prawdziwym smokiem, uciekającym pomiędzy kamieniami holigradzkiego jaru.

## 19 VII czwartek

Rzeczy już wyschły zupełnie, tylko plamy błotniste zdradzają, że niedawno przechodziły jakieś kataklizmy. Wynosimy kajak ze szopy, ładujemy go poniżej domu i jedziemy w dół Seretu znaną nam już trasą. W Kułakowcach<sup>81</sup> obnosimy kajak poza tamę. Dziedzic przy badaniu dna wpada w dziurę i wywraca się, drapiąc sobie ręce i nogi o kamienie. U ujścia Seretu do Dniestru idzie Dziedzic uzupełnić nasze zapasy – słonina, jaja, morele. Ja czekam przy kajaku i jak zwykle dzieci otaczają nas wiankiem; zrazu patrzą nieufnie, potem zbliżają się, pytają, dotykają gumy.

Dniestr wezbrał, a jego pozółkłe wody niosą dobrze. Wiosłując i trochę się splawiając, mijamy Zazulińce, Sinków, Brodek<sup>82</sup>. Brzegi po większej części niskie, nie ściankowate. Mijamy rybaków, kosiarzy. Chłopi tutejsi i ci z dalszego wschodu noszą niskie, słomiane kapelusze, podpięte pod brodą tasiemką, odmienne więc od zaleszczyckich.

Za Brodkiem tworzy Dniestr duże pętłe, wobec czego brzegi stają się wyższe i ładniejsze. W Kołobródce<sup>83</sup> poza wsią szarzeją nagie ścianki. Przez długi czas pędzimy tu przed sobą sześć czapli, które podpuszczają się do nas bardzo blisko, czy to w locie, czy też kiedy stoją nad brzegiem wody. W samej Kołobrodce, w miejscu gdzie prąd jest najsilniejszy, znajdują się dwa młyny, zakotwiczone na linach stalowych; pracują kołami podsiębiernymi. W Horoszowej<sup>84</sup> polskie brzegi są niskie, rumuńskie wysokie, oblesione. Spomiędzy drzew wyglądają białe ściany; bardzo to ładny odcinek Dniestru.

<sup>79</sup> Szczytowce – wieś w rejonie zaleszczyckim, obwód tarnopolski.

<sup>80</sup> Marena – ryba z rodziny łososiowatych, jelec – rzadki gatunek ryby z rodziny karpio-watych.

<sup>81</sup> Kułakowce – wieś w rejonie zaleszczyckim, obwód tarnopolski.

<sup>82</sup> Wsie w rejonie zaleszczyckim, woj. tarnopolskie.

<sup>83</sup> Kołobródka – wieś nad Dniestrem po stronie rumuńskiej.

<sup>84</sup> Horoszowa – wieś w starostwie Borszców.

Na obiad zatrzymujemy się na wysepce dniestrowej, mamy bowiem wodę źródlaną, chleb i jaja ze sobą. Na trawiastym brzegu myjemy namiot i buty. Żar lejący się z nieba suszy w mig wszystko – także resztę zamokłego cwibaka. Pod zwartą kopułą gałęzi i liści wiklinowych gotujemy obiad. Syci, wypoczęci i wychłodzeni spławiamy się jeszcze kawałek. Wreszcie zauważamy, że mamy nocować w Wołkowcu<sup>85</sup>, odległym o jakieś 30 km, a tu już dochodzi godzina szósta wieczorem. Dziedzic miałby ochotę przeciągnąć wycieczkę o jeden jeszcze dzień i wołałby już nie drzeć. Ale w końcu, choć niezbyt chętnie, zgadza się na mój projekt. Rozpoczynamy więc darcie, w doskonałej formie wiosłujemy miarowo i długo robiąc kilometr w 3–4 minutach. Prąd Dniestru pomaga nam znakomicie.

Ujście Biskupia schowane poza pionową skalistą ścianą. Kopista zatrzymuje nas, bada przepustkę i ostrzega przed jazdą po stronie rumuńskiej. Chudykowce<sup>86</sup> – wieś na stromym brzegu to punkt graniczny, gdzie można za dnia przeprawić się do Rumunii. Już po zachodzie słońca docieramy do Olchowiec<sup>87</sup>, gdzie wydaje mi się zostało do zrobienia 4 km, podczas gdy w gruncie rzeczy jest ich jeszcze 8. W milczeniu, wyładowanym niemym wyrzutem Dziedzica „po jaką cholere jeszcze jedziemy” (więc to nie tylko ja jedna byłam terroryzowana przez Kapitana Zucha – przyp. zecera), kosimy wiosłami mocno, spokojnie i wydatnie. Brzegi rumuńskie, a raczej ich kontury, odcinają się ostro na tle nieba, podczas gdy polskie są płaskie. Pusto już wszędzie, ludzie po domach siedzą czy śpią. Wreszcie – pierwsze domy Wołkowca<sup>88</sup>. Na brzegu mającą jakieś sylwetki ludzkie: są to, jak się później okazuje, poznańscy harcerze, którzy mają tu swój obóz. Zupełnie niezmućczeni pomimo 72. zrobionych dziś kilometrów, raczej z uczuciem jakiejś fizycznej rozkoszy w mięśniach całego ciała, wychodzimy na brzeg. Namiot stawiamy prawie po omacku. Kolacja i sen natychmiastowy.

Widzieliśmy dziś jeszcze szurki w Zazulińcach<sup>89</sup> przed Kołobródką<sup>90</sup>. Musi ich być dużo na Podolu, kiedy spotkaliśmy je tyle razy.

## 20 VII piątek

O 6. wstajemy i po śniadaniu ruszamy o 7., aby zdążyć do Okopów na 10. Troszkę się spławiamy, troszkę wiosłujemy. Brzegi wysokie, zalesione lub nagie. Ludzie, których spotykamy, mówią do nas tylko po ukraińsku. W Bielowcach<sup>91</sup> obóz harcerski przenosi się z wyspy na brzeg, bo woda w Dniestrze znacznie się podniosła wskutek długotrwałych deszczów w górach. Znowu Kopista wymaga dokumentów. Jest gorąco i parno.

<sup>85</sup> Wołkowiec – wieś w powiecie borszczowskim.

<sup>86</sup> Chudykowce – wieś w starostwie Borszczów.

<sup>87</sup> Olchowiec – wieś w powiecie bieszczackim.

<sup>88</sup> Wołkowiec – wieś na Ukrainie Wschodniej.

<sup>89</sup> Zazulince – wieś na Ukrainie Wschodniej.

<sup>90</sup> Kołobródka – wieś nad Dniestrem po stronie rumuńskiej.

<sup>91</sup> Bielowce – wieś w obwodzie tarnopolskim.

Okopy<sup>92</sup> poznaję z daleka. Dobijamy do pomostu. Warszawscy letnicy pławią się w wodzie. Nadchodzi burza. Wynosimy kajak i rzeczy do szopy przewoźnika, gdzie obskakują nas pchły. Przebieram się i idę do Chocimia po przepustkę. Policjant wystawia ją bez trudności (1 zł). Burza. Czekając, czytam „Kurierka” pożyczanego u policjanta. Niespodzianka powodzi w Małopolsce zachodniej; przerwane tamy, zalane wsie i miasta jak np. Sącz, ludzie potopieni. Jakoś nie traktuję tego jednak poważnie, bo „Kurierek” zawsze przesadza. Po deszczu zgłaszam odjazd u naczelnika straży skarbowej, gdzie muszę podać, jak będę ubrany. Dowiaduję się, że bez cła można przywieźć z Rumunii dwa papierosy, 3 kg wyrobów drzewnych i 1/2 l. wina. Tymczasem zrobiła się już 11<sup>30</sup>. Pędzę, aby przed 12. przepłynąć się przez Dniestr, bo potem jest ruch wstrzymany do 13. Znaną drogą i końmi tego samego gospodarza – tylko lepszą bryczką, niż przed trzema laty – jedziemy do Chocimia<sup>93</sup> bezdrożem i wśród tradycyjnego błota. Obiad też tradycyjny, bo w tej samej restauracji (1.50 zupa, mięso, wino i chleb). Jazda przez miasto typowo rosyjskie cieszy ogromnie Dziedzica. Domy, Żydzi, sklepy, brud, świnki, strzechy. Po zamku oprowadza nas żołnierz za opłatą 50 gr od osoby. Drzwi żelazne szczelnie zamykają zamek. Powrót odbywamy w tempie przyspieszonym, bo deszcz straszy i trochę nawet leje. Fura kosztowała 3 zł, ale warto, bo trzech studentów z Rohatyna zrobili tę drogę pieszo – wracają boso, zabłoceni całkowicie. Przy przeprawie przez Dniestr przewozi „Michasiu”. Kopista odbiera przepustkę i odprowadza nas do straży skarbowej – nic nie mamy do oclenia. Nadchodzi noc; kolacja i – spać. Konie rżące i pchły nie dają mi jednak zasnąć. A może winny temu te morele, których wsunęliśmy parę kilo, bo choć druga sorta<sup>94</sup>, ale po trzydziści groszy.

## 21 VII sobota

O pierwszej w nocy pobudka i zaraz jazda furką do Iwania Pustego<sup>95</sup>. Noc ciepła, dwa swetry i bluza chronią dostatecznie od zimna. Wschodu słońca niestety nie widać, bo chmury. Po drodze widać dużo sadów morelowych, ale sezon już skończony. Musiały być tu deszcze, bo pole w wielu miejscach zalane.

W Iwaniu Pustem biletów do Krakowa nie sprzedają, gdyż komunikacja pod Tarnowem przerwana z powodu powodzi. A to ci kawał. Osobowym pociągiem jedziemy do Lwowa z dwiema przesiadkami w Wagnance<sup>96</sup> i Stanisławowie. Z kajakiem łatwo przy tym dajemy sobie radę, bo jeden wybiega na pole, a drugi podaje przez okno. Śniadanie mamy zimne, złożone z wycieczkowych resztek: chleba, sera, moreli; częstujemy trzech studentów z Rohatyna. Czortków<sup>97</sup> przynosi nam gazety i dalsze wiadomości o powodzi, coraz groźniejsze. Tor kolejowy biegnie jak w gó-

<sup>92</sup> Okopy – wieś w województwie podlaskim.

<sup>93</sup> Chocim – miasto i twierdza na Ukrainie.

<sup>94</sup> Sorta – sortowanie danych według ustalonych reguł.

<sup>95</sup> Iwań Pusty – wieś w obwodzie tarnopolskim.

<sup>96</sup> Wagnanka – wieś w obwodzie tarnopolskim.

<sup>97</sup> Czortków – miasto na Ukrainie, obwód tarnopolski.

rach kręto – woda, lasy, jary. Przejeżdżamy przez Pałachicze<sup>98</sup>, gdzie byłem na wojnie; poznaję cerkiewkę na okrągłym pagórku. W Wiśniewie mijamy Dniestr, silnie wezbrany. W Stanisławowie odrabiamy obiad w restauracji kolejowej.

We Lwowie przy wysiadaniu jakiś pasażer zawadza koszem o moje spodnie i rozdziera mi nogawkę na przedudziu. Nawet go nie skląłem (przez wrodzoną delikatność – przyp. zecera), a także dlatego, że tak pędzimy za pociągiem do Krakowa, który ma czekać. Zziąjani wpadamy przez tunel na peron inny. Pociągu nie ma; kiedy będzie? nie wiadomo czy wieczorem, czy dopiero jutro rano. Ostatecznie oddajemy rzeczy do przechowalni; w poczekalni trzeciej klasy zszywam portki grubym ścięciem, po czym o godzinie 16. wychodzimy na miasto. Pędzimy pieszo do kina na *Czibi*. Pyszna sztuka. Ciotka Dielowa chyba wyszła za męża, bo na sklepie „Kra-kowianka” inne nazwisko figuruje. Przez parę godzin garujemy<sup>99</sup> na podmiejskich wzgórkach i laskach koło politechniki. Leżąc na trawie wypoczywamy, gwarzymy i martwimy się, czy też morele doszły do adresatów wobec takiej powodzi. Kolacja + kotlet wieprzowy olbrzymi za psie pieniądze w restauracji, w której Dziedzic jako technik się karmił, i – na dworzec „po nieznane”. Na szczęście dla nas pociąg do Krakowa jest.

O 21<sup>30</sup> odjeżdżamy zwykłym pociągiem przez Przemyśl, Przeworsk, Rozwadows, Skarżysko (przesiadka), Kielce (gdzie byłem podczas wojny), Szopienice (przesiadka) i wreszcie Kraków – o godzinie 15<sup>20</sup> dnia 22 VII po 38. godzinach podróży z Okopów. Przez cały dzień był żar, dopiero w Szopienicach deszcz, bo akurat przesiadka.

Z rozkoszą zmywam z siebie brud podróży; trudno mi rozstać się z wanną. Rozpakowuję manatki. Wieczorem wychodzę na kolację do YMCA, ponieważ jestem słomianym wdowcem. Natka czeka w Zarzyczach na męża i syna.

IRENA HOMOLA-SKĄPSKA

ZYGMUNT GRODZIŃSKI'S "DIARY" OF A KAYAKING EXPEDITION  
MADE WITH ANTONI DZIEDZIC IN PODOLE IN 1934

Summary

The account of a kayaking expedition made by Zygmunt Grodziński and his wife Natalia on the Wilia River from Daniszewo to Vilnius in the summer of 1932 was published in the "Annual of the Scientific Library of the Polish Academy of Arts and Sciences and the Polish Academy of Sciences" in 2014 (pp. 271–278). Two years later Grodziński and his young friend, Antoni Dziedzic, spent two weeks in Podolia kayaking on the Strypa and Dniester Rivers. The "Diary" of this expedition, written by Zygmunt Grodziński, constitutes a day – by – day relation of that long and difficult voyage on the rivers of Podolia. It provides ecstatic descriptions of the abundant wildlife, picturesque landscapes, and

<sup>98</sup> Pałachice (właśc. Pałahicze) – wieś na Ukrainie w rejonie tłumackim.

<sup>99</sup> Garujemy – wagarujemy.

wild rivers. The author draws our attention especially to the variety and habits of birds. Grodziński's remarks on the everyday life of the inhabitants of Podolia, diverse ethnically and morally, and their mutual relations are also very interesting. There are also recollections from World War I when in the years 1915–1916 Grodziński, a soldier of the Austrian Army, fought in that very area and became a captive of the Russians.